AS



Nr. 14
2 KWIETNIA 1939 R.
CENA 40 GROSZY

NOWOCZESNA KLEOPATRA
CLAUDETTE COLBERT.

ZEMSTA LITERATA

★

STEFAN M. NOWIŃSKI

FELJETON

Literatura skarży się jak stara panna, że niby jest porzucona, nie podziwiana, nie czytana, wogóle ignorowana. Książki „nie idą", beletrystyka nikogo nie interesuje, kino zatłukło wszystko, zaćmiło, a w ostatnim czasie i zakrzyczało. Istotnie tak jest, a raczej zaczyna być. Na „brutalnem swem prześcieradle" przedrzeźnia ono złośliwie coraz to inne arcydzieło literackie, to „Pana Tadeusza", to „Janka Muzykanta", „Wiatr od morza" etc. Niema dla niego nic świętego; Hamlet, Edyp, Faust czy Wołodyjowski ganiają po ekranie z minami kabotynów, zdolnych nas zrazić mimo wiekowych sympatyj do tych tradycyjnie umiłowanych przez całe pokolenia bohaterów idei, umysłu czy charakteru.

Kino zaś jak polip, pożarłszy jednego bohatera, wyciąga swe celuloidowe macki po nowego i grozi, że w kuchni swych ateliers przyrządzi i skonsumuje wszystkich, jakich stworzyła fantazja poetów, dramaturgów czy powieściopisarzy.

Czas się bronić, bo inaczej bezczelne kino rzuci się na nasze świętości naukowe i gotowe nam sfilmować encyklopedję, lub chemję organiczną. Gary Cooper sięgnie po kreację tytułową „Krytyki czystego rozumu", albo „boska Greta" ukoronuje swe triumfy inscenizacją logarytmów, urozmaiconą najnowszemi przebojami...

Do tego nie możemy dopuścić! Stop!!

Wzywam pisarzy wszelkiego autoramentu do krucjaty; musimy podjąć walkę ze smokiem nowoczesnym, równie żarłocznym jak ten dawny podwawelski, tylko groźniejszym, bo ma tylu poza literatami przyjaciół. Niestety!

Wojnę rozpoczynamy „od zaraz" jak to ściśle określają Poznańczycy, sposobem dzisiejszej taktyki. Aczkolwiek nie mam nic ze św. Jerzego, ani związków pokrewieństwa z ks. Krakusem, wychodzę w szranki w nadziei, że niebawem znajdę więcej sojuszników i smokowi temu odbierzemy jadowitą dla piśmiennictwa siłę.

Decyzja moja dojrzała wczoraj właśnie w kinie, w czasie emocjonalnego dramatu o kilkumetrowem wzruszeniu widzów p. t. „Ojciec bez serca, córki z dynamicznym temperamentem". Nabita do przedostatniego miejsca sala przechodziła z zachwytu w ekstazę i z powrotem, panie roniły strumyki łez, jak na pogrzebie niekochanego męża.

Sukces filmu olbrzymi, niebywały. To mnie ukłuło w centrum serca. Postanowiłem się zemścić. Zemstę obmyśliłem genjalnie a mianowicie: — możesz ty kino robić z naszych cenionych i ulubionych powieści bałwaniaste dramaty „z dobrem zakończeniem", to ja z twoich najświetniejszych filmów będę pisał nowelki.

To cię dobije a ja zaspokoję nie tylko wrącą we mnie potrzebę grafomanji, ale również zastrzyknę sobie na mą anemję pomysłów nową dawkę inwencji.

* * *

A więc zaczynamy: „Ojciec bez serca, córki z dynamitowym temperamentem" dramat w 12 km. z podniosłem zakończeniem...

Jest piękny wieczór styczniowy, w powietrzu wirują płatki śniegu i zadyma wiaterek t. zw. halny. Twarzą (złoty mostek dyskretnie widoczny) do czytelnika siedzi na balkonie willi nadmorskiej miljoner Dolarnicki i czyta polskie pismo, ponieważ rzecz dzieje się w Szwajcarji. Nagle wchodzi bez pukania służący Hipolit z listem:

„Najdroższy Wuju! Za kilka dni uściskam Cię własnoręcznie po ukończeniu podróży do Anglji. Mam talent i szlachetny charakter, tylko brak mi forsy. — Twój siostrzeniec Agapit".

Na twarzy Dolarnickiego maluje się coraz wyraźniej (zbliżenie) błogi uśmiech familijny. Ledwie skończył czytanie listu, wkłada okulary w czarnej rogowej oprawie, gdyż ma słaby wzrok i idzie dokoła domu wśród wspaniałej zawiei śniegu, następnie mija oszroniony las, zamarły wodospad i — przechodzi do drugiego pokoju. Tutaj córka jego Edyta mnie list z bezczelną treścią następującą:

„Pani! Piękność Pani odbiera mi spokój, sen i ochotę na co innego. Proszę o wzajemność, zawsze gotowy do wszystkiego — służący Hipek Warjat".

Oburzona Edyta po przeczytaniu zapala stylową lampę w rogu swego zacisznego pokoju, ukazując nam wzburzenie na plecach, czuprynie i twarzy, powiększonej kilkakrotnie przez zbliżenie aparatu i naszego ku niej współczucia. Na to wchodzi ojciec, nie widząc wrzuconego przez nią do elektrycznego kominka listu.

— Drogie dziecko, ubierz się szybko, idziemy do portu, bo za dziesięć dni przyjeżdża nasz ukochany chłopak Agapit.

Na twarzy Edyty maluje się z pomocą jej szminek, uśmiech dziewczęcego szczęścia.

Tak mija kwartał. Zima się skończyła i mamy upalny czerwiec. W marmurowej altanie obrośniętej niekorkowanem winem, siedzi we dwoje: Edyta i Agapit. Są sami. — U góry księżyc dobrodusznie uśmiechnięty, a obok głowa służącego Hipolita z uchem przyłożonem do filaru altany. Głowa Hipolita krzywi się jak po esencji octowej, co niezbicie świadczy, że podsłuchuje. Agapit rusza wargami tj. mówi, lecz my na szczęście nie słyszymy, bo film jest do bezgłośnego czytania. Edyta skubie kwiatek szarotki... i bada: kocha? nie kocha? Po chwili Agapit zamyka zmęczone wargi i osuwa się wraz z niemi do kolan Edyty. Na zbliżeniu widzimy piękne zdjęcie z natury: Edyta w ramionach Agapita.

W tym czasie ojciec Edyty przymierzając właśnie kostjum narciarski, otrzymuje list: „Szanowny Panie multimiljonerze Dolarnicki! Jeżeli mając córkę, nie ma Pan co innego do roboty, to przyjdź Pan wieczór do altanki. — „Oddany przyjacieli". (film czytany).

Dolarnicki natychmiast każe zajechać swemu Chryslerowi i pędzi do altany wśród piekielnego kurzu nad brzegiem morza, mija dwa mosty i jeden wiadukt nad przepaścią. Dojechał. Otwiera niezamkniętą furtkę ogrodową, jemu tylko wiadomym sposobem i widzi: (zbliżenia Edyty i Agapita już nie powtarzamy).

— Pan nadużył mego zaufania, precz z naszych oczu, tu nie Angola. Edyto, wracaj do swego pokoju — woła rozjuszony ojciec i rozdziera na strzępy szczęście kochanków.

Edyta mdleje na misternym gazonie fiołków alpejskich, Agapit zaś rzuca się na Hipolita i razem tarzając się, włażą na mur, z którego runą po chwili w odmęty oceanu.

Ojciec zostawia cały bałagan i z wytrzeszczonemi z gniewu oczyma, wpada do auta i krzyczy szoferowi:

— Na prawo ośle, do domu!

Pauza paromimutowa pozwala Sz. Czytelnikom przygotować się do drugiej części filmu.

— — — — — — — — —

W parę dni później o świcie, gdy sąsiedni wulkan ledwie się z nocnego spoczunku zbudził i zaróżowił okolicę, znaną nam dobrze w zimie, ktoś schodzi z dachu po antenie piętrowej willi do ogrodu.

To Edyta w kostjumie amazonki, innego widać nie miała pod ręką, opuszcza na zawsze dom nieczułego ojca. Idzie na palcach pod krzaczkami agrestu, oglądając się wciąż na pokój ojca, wpada do basenu fontanny, przepływa na drugi brzeg i znów wraca kraulem pod okna ojca, tak jej żal opuszczać go! Po chwili widzimy ją pod zamkniętym kościółkiem. Zrywa się pokrzepiona modlitwą i gna przez budzące się łąki i przyglądające się jej w szalonym pośpiechu owce...

Rano ojciec podnosi storę swej sypialni i na ramie okna znajduje list, pisany na maszynie:

„Ojcze! Dłużej nie mogę wytrzymać. Idę szukać Agapita, ale Ty tego nie rób. Zapomnij o nas, dopóki nie weźmiemy ślubu. Twoja nieszczęśliwa Edyta".

Teraz zaczyna się wściekły wyścig. Edyta dobiegła do stacji kolejki zębatej, ojciec w piżamie, dwóch policjantów w mundurach gnają na motocyklach za wytresowanym psem, obwąchującym co trzecie drzewo.

Walą przez strumienie, wciąż w szalonym pośpiechu, wreszcie porzuciwszy motocykle, wspinają się na gołe szczyty górskie, przełażą przez leżące tam rury kanałowe — i w ten sposób dostają się do najbliższej stacji tramwajowej. Edyta zdążyła, choć bez biletu, ale zdrowo i cało, wskoczyć do pierwszego wozu, który w szalonym pędzie nad przepaścią, odrywa się od drugiego i uwozi ją w dal.

Złamany ojciec wraca do domu krótszą drogą, przyczem widzimy go odrazu posiwiałego i z ogoloną brodą. Tak to nieszczęście zmienia ludzi! Służący Hipolit, widząc jego smutek, wręcza mu na tacy depeszę:

„Majątek pański, umieszczony w akcjach „Opozycji", przepadł. Przyjm Pan serdeczne kondolencje. — Radosław Kohn".

Jeszcze krzepki, choć nieszczęśliwy starzec, pada na biurko, z którego wraz z wazonem, zegarem, popielniczką, kałamarzem i fotografją Edyty, gdy była ładnem dzieckiem, wali się w całej długości na podłogę, koło dywanu.

Dowiadujemy się z miny służącego Hipolita, że jego pan zwarjował.

Edyta dojechała naderwanym tramwajem do stacji, na której zatrzymują się pociągi kurjerskie. Właśnie nadbiegł Paryż—Moskwa, wskoczyła i dojechała do Zbąszyna, gdzie brak wizy i drobnych przerwał jej dalszą ucieczkę.

Agapit uratował się z uścisków Hipolita w morzu i dopłynął na desce do Rotterdamu, gdzie nie mógł się niczego dowiedzieć o Edycie, nie znając holenderskiego języka...

— — — — — — — — —

Teraz wypadałoby efektownie zakończyć, jak Edyta siedząc w Zbąszynie bez wizy, porozumiała się z rozbitkiem w Rotterdamie i jak wrócili do Szwajcarji, aby jeszcze parę dni przed pogrzebem osłodzić cudownie uzdrowionemu ojcu, ostatnie godziny jego życia.

Ale nie wiem już, jak to rozplątać. Zbyt rzadko chodzę do kina...

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI
PDRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). - TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
ARZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA NUMERU W LITWIE 50 CT.
CENY OGŁOSZEN: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 14 **Niedziela, 2 kwietnia 1939** **Rok V**

ASY NUMERU 14-GO:



W przeciwieństwie do coraz to nowych wstrząsów politycznych, które, niby piorun z jasnego nieba, uderzają w gmach pokoju europejskiego, okres wielkopostny pozwala wierzącym zastanowić się nad sobą i wniknąć w sprawy swego sumienia, niezależnie od współczesnego, tak burzliwego życia.

WESELE KRÓLEWSKIE NAD BRZEGAMI NILU



Obecny władca Iranu — J. C. M. Riza Chan Pahlevi.

Wojna światowa odbiła się korzystnie w świecie muzułmańskim gdyż „wysanowała" stosunki w kilku państwach, które poprzednio prowadziły żywot na marginesie polityki i nie zdolne były do kierowania swymi losami. Jeżeli Turcja wypędziła swych władców, odbierając im nawet tytuł kalifów, czyli zwierzchników wszystkich wyznawców Mahometa, to zyskała dzielnego wodza w osobie niedawno zmarłego prezydenta Kemala Atatürka, który zreorganizował kraj pogrążony doniedawna w marazmie i uwikłany w międzynarodowych intrygach. To samo da się powiedzieć o Persji: dynastja Kadżarów, panująca w tym kraju od roku 1794 skończyła się z szachem Achmedem, który przebywając stale od r. 1921 w Paryżu, bynajmniej nie interesował się krajem, przedkładając nad troski rządzenia urok Paryża, a nadewszystko Paryżanek... Lecz i tu znalazł się dzielny reorganizator: Riza Chan Pahlevi, który od prostego żołnierza zacząwszy, przechodząc całą hierarchję wojskową, wkońcu został ministrem wojny w Persji, a następnie sięgnął po wysadzaną brylantami koronę szachów, na której widnieje charakterystyczny pióropusz, również obsypany brylantami. Jest to więc typ dyktatora, który przemienił się w monarchę, rodzaju Achmeda Zogu I w większym formacie. Cywilizując swój kraj, a nadewszystko uwalniając go od supremacji Rosji i wtrącania się Anglji, Riza Chan Pahlevi zapewnił Iranowi wielką przyszłość. Trzeba wkońcu wspomnieć o trzecim kraju, który zyskał na przewrotach spowodowanych wojną światową: o Egipcie. Jakkolwiek węzły między tym krajem a jego suwerenem — Turcją — coraz bardziej się rozluźniały, a Egipt coraz silniej podpadał pod wpływ Anglji, to i tu nastąpiło ocknięcie się poczucia odrębności. Nie było o to zresztą trudno, gdyż losy kraju spoczywały w wielkiej mierze w rękach mądrej rodziny kedywów, czyli wicekrólów, którzy począwszy od Mohameda Ali (1811) dużo uczynili dla swego kraju. Mało jest może wiadomem — niechaj będzie to powiedziane na marginesie—że dynastja kedywów egipskich, choć mahometańska i ściśle przestrzegająca swych rytualnych obyczajów—pierwszą królową Egiptu, która ukazała się bez kwefu jest żona Faruka I, królowa Farida, matka

zaś jego królowa Nazli w dalszym ciągu przestrzega tego obyczaju — połączyła się węzłami krwi z rodziną francuską, a przez nią pochodzi po neapoleońskim wojaku, pochodzącym z Lionu Józefie Sèvre. Dzielny ten oficer organizował armję egipską, a później

Poniżej: Ks. Fawziah, siostra króla Egiptu Fuada, małżonka następcy tronu irańskiego.
Fot. Sensafilm — Paryż.



został dostojnikiem egipskim jako Soliman pasza, córka zaś jego stała się prababką króla Fuada, ojca króla Faruka I.

Małżeństwo następcy tronu Iranu ks. Mohameta Reza Szachpur z przepiękną księżniczką Fawziah, najstarszą siostrą króla Faruka, stanowi ciekawy rozdział historji obu krajów. O ile małżeństwo króla Faruka z piękną córką Jussuf Beja Zulfikar, wiceprezesa mięszanego sądu apelacyjnego, było podyktowane jedynie wzajemnem uczuciem, o tyle małżeństwo dziedzica Iranu z ks. Fawziah polega na kombinacjach politycznych. Dwa potężne państwa mahometańskie, chociaż tak od siebie odległe, łączą się ze sobą przez potomków swych władców — może to mieć znaczenie na przyszłość, a przytem umocni tron nowej dynastji irańskiej, która, bądź co

Poniżej: Meczet Rifai, wspaniały okaz architektury egipskiej stał się ostatniem miejscem spoczynku pierwszego króla Egiptu, Fuada I.



Podczas uroczystego przyjęcia w pałacu Abdin w Kairo — od lewej: panna młoda ks. Fawziah, pan młody, dziedzic tronu Iranu i królowa Farida egipska. *Fot. Wide World.*





Ks. Fawziah (pierwsza od lewej) bierze udział w towarzystwie królowej Faridy (po środku) w otwarciu wystawy sztuk pięknych w Kairze. *Fot. Sensation.*

bądź nie może się wykazać żadnem dynastycznem pokrewieństwem. Wielkie znaczenie też przypisuje się temu małżeństwu ze względu na zbliżenie się dwóch odłamów muzułmanów, tj. odłamu sunnickiego — Egipcjan, do szyickiego — Irańczyków. Nic też dziwnego, że tak ważne wydarzenie otoczone było całym przepychem, na jaki wschód zdolny się zdobyć. Nie chodzi w tym wypadku jednak o ceremonję w znaczeniu europejskiem: zarówno akt objęcia władzy przez króla Faruka, jak też uroczystość zaślubin jego z królową Faridą odbyły się bardzo po prostu i skromnie, co również da się powiedzieć o zaślubinach nowej pary małżeńskiej. Natomiast „clou" tej uroczystości była niezliczona ilość niezwykle cennych podarków. O ile królowa Farida otrzymała całe zastawy z złota, wspaniały welon z brukselskich koronek, darowany w r. 1869 z okazji otwarcia kanału Suezkiego przez cesarzową Eugenję francuską, różne klejnoty pochodzące ze zbiorów sułtana Abdul Aziza, o tyle tym razem panna młoda obdarowana została przez swego narzeczonego wspaniałymi klejnotami, z których np. diadem posiada 55 dużych brylantów i 250 djamentów, jeden naszyjnik 120, drugi zaś 80 niemniej starannie przez paryskiego jubilera dobranych brylantów. Toalety panny młodej miały kosztować przeszło dwa i pół miljona złotych.

Uroczystości zaślubin dzielą się na dwie fazy: jedna rozegrała się w dniu 16 marca w Egipcie, a ściślej mówiąc w pałacu Abdin w Kairo, i obejmowała podpisanie kontraktu ślubnego, przy którym zresztą panna młoda była nieobecna zgodnie z tradycją muzułmańską, oraz drugą część, która już odbyła się na ziemi irańskiej w Ispahanie, w dniu 24 kwietnia i jest właściwą ceremonją ślubną. Młody książę, który przybył do Egiptu na królewskim jachcie egipskim „Mahrussa" z eskortą dwóch okrętów bojowych „El Amira Fauzja" i „El Amira Faruk", zamieszka powróciwszy do ojczyzny z żoną w cudnym marmurowym pałacu.

Uroczystości weselne w Ispahanie łączyć się będą jeszcze z przyjęciami wszelkiego rodzaju, które wydane zostaną z okazji urodzin cesarza Riza Chana Pahlevi oraz z rocznicą wstąpienia jego na tron Kadżarów. Gdy młoda para po przebyciu Czerwonego Morza, a następnie po okrążeniu Arabji wpłynie do portu w Szachpur, oczekiwać ją będą nie tylko tłumy poddanych Jego Szachowskiej Mości, ale również wysłannicy ojca pana młodego i liczni dostojnicy dworscy. Iran jest jednym z nielicznych już krajów Wschodu, który w dalszym ciągu utrzymuje barwność strojów również w wojsku, czego najlepszym dowodem jest choćby to, że „gwiazdki" popularne odznaki stopnia wojskowego zastępują na mundurze szacha... brylanty! Będzie to więc obraz godny widzenia, tem więcej, że wiosna wyczarowuje na ziemi Iranu cudną florę.

JGM.

Poniżej: oto djadem wysadzany wspaniałymi brylantami — prezent następcy tronu irańskiego dla ks. Fawziah.

Fot. Sensation.





FILOZOFOWIE PODNIEBIENIA

Rewolucja francuska zadała poważny cios dworskiej, wersalskiej kuchni. Nastąpił odwrót od pasztetów, frykasów i tym podobnych wyszukanych specjałów, i to na całej linji. Razem z hasłem powrotu do natury, głoszonym we wszystkich rziedzinach życia, nastaje i w gastronomicznej sztuce nowa zasada: przyrócić prawa należne podstawowym składnikom potraw. Nie odbierajmy mięsiwu jego naturalnego smaku i zapachu — głoszą filozofowie podniebienia. Zostawmy jarzynom delikatny smak i przyrodzoną barwę — wołają kuchmistrze.

Zwyciężyły rewolucyjne hasła, zarzucono kaprysy i dziwactwa. Zdawałoby się, że tem samem zadano cios panowaniu kuchni francuskiej na kontynencie. Ale gdzieżtam! Właśnie teraz nastaje okres ponownego jej rozkwitu. Kuchnia francuska zdobywa sobie dzięki lekkości, wielkiej ilości delikatnych sosów, doborowości pieczywa słodkiego, — wszystkie podniebienia Europy, a teoretykiem jej staje się także — rzecz jasna — Francuz, pan Anthelme Brillat-Savarin.

Gdy w roku 1825 ukazało się znamienne dzieło nowego profesora, zatytułowane „Fizjologja smaku", a poświęcone paryskim smakoszom, wiedzieli tylko nieliczni bywalcy salonu pani Récamier, kim jest autor jedynej w swoim rodzaju książki. W salonie bowiem powiernicy i przyjaciółki największych ludzi Europy, dzieło to powstało. Było ono owocem wieloletnich doświadczeń i rozmyślań pana Brillat-Savarin.

Wysoki, dobrze zbudowany ten pan, ubrany z staroświecka, w cywilu sędzia paryskiego Sądu Kasacyjnego, ubierał wieczorem swój niebieski frak i zjawiał się w pięknem ustroniu l'Abbaye-aux-Bois sułtanicy z 1001 poranków, jak ktoś nazwał złośliwie panią Récamier. Tu przysłuchiwał się bardzo pilnie uczonym rozmowom, wtrącając od czasu do czasu jakąś dowcipną uwagę lub opowiadając ciekawą anegdotę. Tylko wtajemniczeni wiedzieli, że niepozorny pan stojący na uboczu, pracuje nad najdowcipniejszem dziełem epoki, które później miano przyrównać do arcydzieła Erazma z Rotterdamu „Pochwała głupoty". Od czasu do czasu na prośbę uroczej gospodyni, Brillat-Savarin wyciągał z kieszeni fraka kilka kartek rękopisu i dźwięcznym głosem odczytywał urywki swego dzieła. „Widzę go jak dziś — powiada stały bywalec wieczorów przy kominku — w wysokim kołnierzu, który mu otaczał szyję i w szerokich pantoflach". Scena zupełnie jak z salonu generała Wincentego Krasińskiego, gdzie w tym samym czasie pan senator i Radca Stanu Kajetan Koźmian, poza tem poeta, odczytywał fragmenty swego „Ziemiaństwa".

Gdy w roku 1825 ukazała się wreszcie „Fizjologja smaku", Paryż był zachwycony. Nic dziwnego. Był to przecież ten sam Paryż, który wydał także „poetę podniebienia". książki to światowiec, któremu żadna nauka „Rozumiem, panowie, mimo waszych zaprzeczeń,
Od najpiękinejszych wierszy lepsza dobra pieczeń".
— śpiewał Berchaux w swoim poemacie „La gastonomie", wydanym w czasie srożącej się rewolucji. Nakład arcydzieła o rozkoszach podniebienia szedł po nakładzie. Podczas gdy przyjaciele odprowadzili autora na wieczny odpoczynek w lutym 1826 roku, krytycy nie tak skorzy do pochwał, wynosili go pod niebiosa w swoich recenzjach i specjalnych szkicach.

Jeden z nich pisał: — „Autor tej boskiej ani sztuka nie jest obca. — Włada prawie wszystkimi językami Europy i posiada gruntowną znajomość literatury starożytnej. Jest lekarzem, anatomem, fizjologiem, chemikiem, archeologiem i wybitnym znawcą literatury. A cała jego wiedza obraca się dokoła sztuki jedzenia, którą rozjaśnił pochodnią swego genjuszu" (sic!).

Czy aby nie za dużo tych kadzideł? — myślimy sobie. Przecie to zawsze tylko filozofja podniebienia, nic więcej. Te same co prawda zastrzeżenia mieli i współcześni. Ale czas przekonał wszystkich sceptyków, że sława dzieła jest zupełnie zasłużona Okazało się nawet, że im więcej lat mijało od powstania tej książki, tem cenniejszą się stawała.

Najlepiej zresztą świadczą o wartości dzieła pana Anthelma Brillat-Savarin niektóre dowcipne, jakże jednak prawdziwe aforyzmy:

Od sposobu odżywiania się zależą czasami losy narodów.

Powiedz mi, co jesz, a powiem ci kim jesteś.

Stół jest jedynem miejscem, gdzie się nie nudzimy podczas pierwszej godziny.

Odkrycie nowego specjału jest dla szczęścia ludzkości częstokroć cenniejsze, niż odkrycie nowego gwiazdozbioru.

Żarłocy ani pijacy nigdy nie zaznają rozkoszy jedzenia i picia.

Porządek potraw: od ciężkich do lekkich: porządek napojów: od lekkich do ciężkich.

Deser bez sera, to dziewczyna bez oczu.

Kucharzem można zostać — mistrz rondla i rożna rodzi się człowiek. **R. L.**

W ciemnym lesie, w ciepłą, letnią noc można zauważyć zdaleka jakieś migotliwe światełka; świecą tajemniczo gałęzie drzew lub butwiejące ich korzenie, tu i ówdzie bladem, fosforycznem światłem zamigoce także powierzchnia ziemi. Skąd biorą się te niesamowite światła? Czyżby jakieś gnomy leśne pozaświecały swe lampki? Czyżby to była bajka lub tylko złudzenie?

Pierwotnie ze światłem w lesie, w ciemną noc, łączyło się wiele baśni i zabobonnych wierzeń, póki nauka nie uchyliła rąbka tajemnicy tego niezwykłego zjawiska.

Od dawna zauważono świecenie próchna, obserwowano wydawanie światła przez rozkładające się w ściółce leśnej liście drzew, a zwłaszcza dębów, buków i klonów, obserwowano świecenie pali i drzewnych podpór w kopalniach, stwierdzono, że fosforycznem, niesamowitem światłem błyszczy mięso martwych ryb morskich, ciała skorupiaków i mięczaków a także i innych zwierząt. Nie umiano jednak wytłumaczyć tego zjawiska.

Dopiero późniejsze badania wykazały, że świecenie drewna, przedewszystkiem wierzb, także olch, sosen i jodeł, jest związane z obecnością strzępek, t. j. delikatnych niteczek, należących do rodziny grzyba pospolitego, zwanego opieńką jadalną (Agarisus melleus). Rośnie on dokoła próchniejącego drzewa, przenika swą grzybnią jego tkanki i wywołuje świecenie. Gdy w ciemną noc rozbić próchno na drobniutkie kawałeczki, ma się wrażenie, że deszcz świetlanych iskierek spada na ziemię.

W naszym kraju świecenie drewna wywołują tylko strzępki grzyba, w pd. zaś Europie światło wydaje także kapelusz grzyba, również opieńki, lecz innego gatunku Agaricus olearius, który rośnie w gajach oliwnych pomiędzy korzeniami drzew. Podobnie świecą kapelusze czyli owocniki niektórych grzybów egzotycznych. Przy świetle wydawanem przez większą ilość brazylijskich grzybów Agaricus Gardneri, można nawet czytać, a w niektórych okolicach Australji i na Filipinach, a także w Indjach Holenderskich świecące grzyby znalazły u tubylców zastosowanie jako latarki.



Świecące grzyby rosną gęsto w lasach brazylijskich.

ŚWIATŁO W MROKU

Turystom, wędrującym po górach zdarzało się niekiedy zauważyć u wejścia do grot skalnych jakieś błyskotliwe światełka. Zdawało się, że ukryte skarby, lśniące zielenią szmaragdu leżą rozsypane na ziemi. Z chwilą jednak, gdy rękę po nie wyciągnęli, pryskał czar, a w dłoniach pozostawały jedynie kępki wyblakłego i wilgotnego mchu.

Zwodnicze światło wydawał mech — świetlanka (Schizostega osmundacea) w stadjum t. zw. splątka składającego się z licznych, wypukłych komórek. Komórki te działają podobnie jak soczewki skupiające. Padające promienie rozproszonego światła dziennego załamują się na górnej, wypukłej powierzchni komórek, skupiając się następnie na ciałkach zieleni, które leżą w ich dolnej części. Promienie zatem, które najpierw miały przebieg równoległy, zostają zebrane w stożek, który silnie oświeca ciałka zieleni. Ma to duże, istotne znaczenie dla rośliny, gdyż nawet w ciemności pozwala jej przyswajać, to znaczy czerpać pokarm z dwutlenku węgla, zawartego w atmosferze.

Zdarza się niekiedy, że spokojne zwierciadło wody zdaje się lśnić złotem. Zjawisko to jest wywołane obecnością mikroskopijnych, jednokomórkowych glonów Chromophyton, które ukazują się w niezliczonych ilościach. Gdy podpłyną pod powierzchnię wody, skupiają rozproszone promienie świetlne, które odbijając się następnie od brązowego barwika, zawartego w ich komórkach, dając wrażenie barwy złotej.

Z chwilą wynalezienia i udoskonalenia mikroskopu, udało się rozwiązać zagadkę świecenia mięsa martwych ryb, a także innych zwierząt, które stanowią doskonałe podłoże dla rozwoju bakteryj świecących. Barwa światła wydawanego przez owe drobnoustroje może być różna: biaława, niebieskawa, zielona lub żółtawa, a intensywność jego maleje, w miarę jak mięso ulega rozkładowi; widocznie brak tlenu wpływa hamująco na świecenie bakterji.

Światło, które wydają bakterje, jest dość silne, toteż próbowano je zastosować do oświetlania jako „żywe lampki". Francuz Dubois, a także austrjacki botanik Molisch, skonstruowali takie lampki z kolbek szklanych, w których rozwijały się kultury samoświecących bakteryj. Świeciły one światłem zielono-niebieskiem przez 10 dni tak silnie, że większy druk można było dobrze odczytać. W świetle owych bakteryj, z odległości 2 metrów można było widzieć osoby, a samą lampą udało się sfotografować w jej własnem świetle, naturalnie przy długiej ekspozycyj i silnej soczewce aparatu.

Z. M.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Najnowsze znaczki: W pierwszym rzędzie francuski z portretem Cézanne'a, i grecki dobroczynny, w drugim rzędzie znaczki francuskich kolonij: wyspy St. Pierre & Miquelon, Gwinei, Afryki Równikowej i republiki Libanu.

Niema nawet miejsca aby w kilku wierszach opisać osobę Cézanne'a, którą widzimy na najnowszym znaczku francuskim wydanym w jasno-niebieskim kolorze. Wypadki polityczne biegną z taką szybkością, że powodują niemal z minuty na minutę zmiany w przynależności poszczególnych krajów, — a co za tem idzie wycofywanie i powstawanie nowych wydawnictw. Już zwątpiliśmy, czy Słowacja, po przyjęciu protektoratu niemieckiego wyda swe własne znaczki, gdy tymczasem ukazały się już przedruki na czeskich serjach, a zapowiedziane znaczki z portretem ks. Hlinki są w druku. Jest rzeczą jasną, że nakład znaczków przedrukowanych w samej Bratysławie nie może być wielki, tak, że o ile nadruk ten nie będzie zbyt skomplikowany — lada dzień za oryginałami pojawią się i falsyfikaty. Wartoby też odrazu zaopatrzyć się w dalsze wydania tego kraju, który bądź co bądź należał do najmniejszych w Europie. Co do protektoratu „Czechy i Morawy", to chyba znaczki niemieckie wyjdą z podobnym przedrukiem, jaki swego czasu Anglja zastosowała wobec kraju Beczuanów („Bechuana-land") i porównanie to w każdym razie nie przynosi zaszczytu rodakom Husa.

Rzekomo i Kłajpeda — a raczej urząd pocztowy w tem mieście objęty przez Niemców — wydał znaczki litewskie z przedrukiem „jesteśmy wolni", co w katalogach wywołałoby otworzenie nowego ustępu w rozdziale „Memelgebiet". Sądzić wypada, że rozdział ten będzie bardzo krótki, a nie musi być nawet (choćby się wiadomość sprawdziła) uznany przez miarodajnych filatelistów. Ze względu na odcięcie komunikacji nie było dotychczas możliwem otrzymanie tych wszystkich sensacyjnych nowości, które zreprodukujemy w najbliższych numerach.

W. H.

Upiększająca kąpiel

Oto dlaczego olejek oliwkowy w MYDLE PALMOLIVE przywraca skórze DELIKATNOŚĆ I GŁADKOŚĆ



Czy cera Twa staje się wysuszona, bezbarwna i odrobinę szorstka? Są to pierwsze objawy „starzejącej się" skóry—niebezpieczny stan, postarzający nawet młode kobiety.

Tysiące specjalistów kosmetyki zaleca regularne i codzienne używanie mydła Palmolive, gdyż jest ono wyrabiane na olejku oliwkowym, bezcennym środku kosmetycznym. Dlatego też piana tego mydła jest rzeczywiście wyjątkowa—przenikająca, obfita i udelikatniająca. Palmolive łagodnie czyści pory skóry, z brudu i kosmetyków, jednocześnie wygładza, odświeża i wzmacnia skórę – przyczyniając się do odzyskania naturalnej cery o pięknej karnacji.

Oto dlaczego dr Dafoe wybrał dla delikatnej skóry słynnych Pięcioraczków Kanadyjskich wyłącznie Palmolive, czyste mydło piękności, wyrabiane na udelikatniających olejkach oliwkowym i palmowym.

Zapewnij więc Twojej skórze to zbawienne działanie mydła Palmolive. Przekonasz się, jak udelikatniająca i wyjątkowo łagodna piana tego mydła przyczyni się do uzyskania piękniejszej, młodziej wyglądającej cery.



Obfitym ilościom olejku oliwkowego — prawdziwego olejku piękności—mydło Palmolive zawdzięcza swój naturalny zielonkawy kolor i zbawienne działanie na skórę.

Wyrabiane na olejku oliwkowym, nadaje cerze i całemu ciału młodzieńczy i piękny wygląd.

Preparat X249/ss

WANDA DE RICHE

NOWELA

Kiedy rozeszła się wieść o śmierci dra Stefana Brzechwy, znanego okulisty i eksperymentatora, którego prace naukowe były kilkakrotnie wyróżnione przez Akademję Umiejętności, przyjęto ją ze smutkiem, ale bez głębszego zainteresowania. Dzienniki poświęciły pamięci zmarłego dłuższe lub krótsze wzmianki, nikt jednak nie powątpiewał, że zgon Brzechwy nastąpił w okolicznościach naturalnych. Dopiero w dwa lata później, jeden z członków jego rodziny, wyraził się o nim nieopatrznie w gronie znajomych, jak o człowieku niespełna zmysłów, który popełnił samobójstwo. Uwaga ta stała się powodem dwuznacznych komentarzy i doprowadziła ostatecznie do ujawnienia dziennika zmarłego, pisanego w ostatnich dniach jego życia. Rozstrzygnięcie wątpliwości, czy chodzi w danym wypadku o notatki szaleńca, czy też śmiałego odkrywcy, który padł ofiarą ryzykownego doświadczenia, jest według wszelkiego prawdopodobieństwa, nieosiągalne. Zapewne i ekshumacja zwłok — zresztą zupełnie nieuzasadniona — nie dałaby żadnych wyników wobec braku jakichkolwiek wiadomości o budowie chemicznej tajemniczego związku X——249/ss i zdolności jego reagowania na znane nam odczynniki.

Oto wspomniane notatki w ich dosłownem brzmieniu:

19 lutego 1935 r. — Zdaje się, że tym razem jestem bliski zwycięstwa. Po sześcioletnich, żmudnych próbach udało mi się wreszcie dokonać syntezy strychniny z zasadniczym związkiem organicznym, wyodrębnionym przeze mnie jeszcze w ubiegłym roku z grochu ogrodowego i nasion słonecznika. Wprawdzie asystenci profesora Rentza, który oddał mi do dyspozycji jedną z pracowni Uniwersyteckiego Zakładu Chemji Doświadczalnej, ochrzcili mnie w międzу czasie przydomkiem „pomylonego", okazuje się jednak, że hypoteza moja, tłumacząca zwracanie się roślin do światła szczególną wrażliwością na promienie ultrafioletowe nieznanej dotąd pochodnej barwika zieleni, była w pełni uzasadniona. Z chwilą, kiedy związek ten udało mi się wyodrębnić w stanie względnie czystym, znaczna część zadania była już spełniona. Przyznaję jednak, że od ogłoszenia wyników pracy powstrzymała mnie nieprzeparta chęć dokonania doświadczeń na istotach żywych. Oddziaływanie na tęczówkę zwierzęcia, czy człowieka, związku o podobnych właściwościach powinno było doprowadzić do niezwykłego zaostrzenia się wzroku i znacznego przesunięcia się granic widzialności. Pewną obawą przejmowała mnie wprawdzie myśl, że oko nie będzie reagowało na promienie pozafiołkowe, czy też podczerwone, jako nieprzystosowane do ich widzenia, bądź co bądź jednak, żyłka eksperymentatora nakazywała mi spróbować.

Przyznaję ze skruchą, że doświadczenia te nie zostały uwieńczone powodzeniem. — Właściwie nie wiem, co o nich sądzić. Zwierzęta, którym zastrzykiwałem zawierający „heljotropinę" preparat X—249/ss, gdyż takie nadałem mu miano, zdradzały co najwyżej przemijające podniecenie. Tylko dwa króliki zdechły z niewiadomych przyczyn.

Dopiero później zrozumiałem, że substancja „heljotropowa" rozkłada się w ustroju zwierzęcym bardzo szybko i działanie jej jest z konieczności krótkotrwałe. Zacząłem więc zastanawiać się nad połączeniem jej z innym, odpowiednim związkiem chemicznym, celem uzyskania wyników trwalszych i bardziej pewnych. Dziś jestem przekonany, że moja „syntetyczna" substancja nie zawiedzie pokładanych w niej nadziei.

28 lutego. — Przystąpiłem do wstrzykiwania memu kotu Apisowi małych dawek preparatu. Nie pozwoliłem wypuszczać go z mieszkania, gdyż pragnę obserwować zachowanie się zwierzęcia w miarę postępu doświadczenia. Dręczy mnie jednak myśl, że w ten sposób nigdy nie przekonam się o wartości i użyteczności wyciągu. Powinienem sam poddać się jego działaniu. Trzebaby, rzecz prosta, zwiększyć dawkę... Zastanowię się jeszcze nad tem...

5 marca. — Minęło pięć dni. Mimo systematycznego podawania wyciągu X——249/ss kotu, zwierzę ma się zupełnie dobrze. Preparat nie odznacza się zatem własnościami trującemi. Ale, czy wogóle działa i jak działa, tego nie dowiem się przecież od nierozumnego stworzenia. Przyznaję, że ogarnęło mnie zniechęcenie. Od wielu lat zajmuję się eksperymentami, które wyglądają na zabawkę. Moja „heljotropina" jest środkiem albo obojętnym, albo zbyt słabym, aby mogła wpłynąć na wzrok tak, jak to sobie wyobrażałem. Zaczekam jeszcze dwa dni, a potem spróbuję zastrzyknąć preparat sobie.

7 marca. — Apis ma się doskonale. Ilekroć spoglądam na jego wąsatą mordkę, wydaje mi się, że widzę na niej, jakby uśmiech politowania. Pozostaje mi tylko dokonać eksperymentu na sobie. Strzykawka gotowa. — Musiałem poddać wyciąg odpowiedniemu stężeniu, aby zastosować dawkę proporcjonalną do mej wagi. Jeszcze kilka dni i dam spokój wszystkiemu. Przez ten czas śledzić jednak będę skutek preparatu. Przekonam się o jego wartości na własnej skórze...

8 marca. — Nie mam już wątpliwości. To klęska, klęska na całej linji! Jestem tak przygnębiony i zawstydzony, że nie mogę znieść nawet wzroku kota, towarzysza i przedmiotu moich doświadczeń. Nie wierzę już w istnienie „heljotropiny" i na myśl, że straciłem kilka lat w pogoni za złudą, ogarnia mnie wściekły gniew. Tyle starań i tyle pracy poszło na marne! Zniszczyłem moje notatki, podarłem na strzępy zeszyty z wynikami moich doświadczeń chemicznych... Nadzieje moje na genjalne jakieś odkrycie znalazły się dziś w popiele po spalonych papierach.

12 marca. — Zaczynam powoli otrząsać się z przygnębienia, o jakie przyprawiła mnie myśl, że doświadczenia moje są zupełnie chybione. Co więcej, w sercu mojem zbudziła się znowu nadzieja. Może się mylę, ale już wczoraj zwróciło moją uwagę dziwne zachowanie się kota Apisa. Zwierzę obserwuje mnie, jak z głęboką nieufnością... Ilekroć zbliżam rękę, aby je pogłaskać, kuli się i cofa i dopiero na dźwięk mego głosu, odzyskuje dawną śmiałość. Ale śledzi mnie stale, przygląda się mojej twarzy i zachowuje się tak, jakbym był dla niego zupełnie obcą osobą. Dziś rano ruchy jego cechowała niezrozumiała dla mnie obawa. Dłoń moja wydawać mu się musiała bardzo niebezpieczną, gdyż skoczył pod szafę i dopiero po długim czasie opuścił swoją kryjówkę. Czyżby to było następstwem doświadczeń, jakie przeprowadzałem na nim przed dwoma tygodniami? Ale w takim razie musiałbym przyjąć, że moja heljotropina nie uległa rozkładowi w ustroju zwierzęcia i dopiero zaczyna działać? Co więcej, jeśli preparat X——249/ss nie uległ rozkładowi i wydaleniu, działanie jego musi potęgować się stopniowo wobec kumulowania się dawek?!

13 marca. — Jeśli dziwne zachowanie się kota jest następstwem niezwykłych wrażeń, jakich doznaje i jeśli wrażenia te pozostają w związku z preparatem X——249/ss, będą one i moim udziałem. Nie są one jednak przyjemne, gdyż zwierzę żyje w ciągłym lęku. Na widok jego, ogarnia mnie niepokój, gdyż zdaję sobie sprawę, że i ja za kilka dni zachowywać się będę równie „dziwnie". Ale mniejsza z tem. Życie moje dobiega i tak kresu... Nie mam żadnej bliższej rodziny, a troska o te kilka lat, które mam jeszcze przed sobą, wydaje mi się dowodem słabości charakteru. Przyznaję szczerze, że powoduje mną teraz tylko ciekawość wynalazcy, który chce wykreślić nowe drogi swym następcom...

14 marca. — A więc stało się... Dziś jestem już pewny, że preparat X——249/ss działa na ustrój człowieka. W istocie, wzrok mój uległ wybitnemu zaostrzeniu się. Fakt ten każe mi dostosować się jak najprędzej do zmienionych warunków życia...

Zaczęło się to jeszcze wczoraj. Zauważyłem, że moja czerwona kotara nad łóżkiem, jakby spłowiała i że pojawiły się na niej plamy brunatne, żółte i zupełnie białe. Co więcej, różne przedmioty, które uważałem dotąd za jednolicie zabarwione, przybrały inny wygląd. Kwiaty, stojące na mojem biurku, mają wiele żywych odcieni i zyskały na piękności, ale dywany, firanki, a nawet tkanina mego ubrania, wszystko przekształciło się w jakąś pstrokaciznę kolorów, zamazanych i niewyraźnych. Doznawałem przez pewien czas uczucia wstydu, widząc, jak brudnem i brzydkiem jest może ubranie i dopiero potem zrozumiałem, że widzę usterki w barwieniu sukna, które dotąd nie podpadały pod mój wzrok.

Całe otoczenie przedstawia mi się dosłownie w innem świetle. Na ogół jestem rozczarowany. To, co dotąd uważałem za piękne, okazało się pełne usterek i błędów. Z pogardą odrzuciłem złoty pierścień z wspaniałym rubinem, który budził zawsze takie zainteresowanie. Złoto zmieniło się w jakiś szary metal, a rubin stracił blask i wygląda, jak biały kamyk. Prawdę mówiąc, w oczach moich zyskały tylko zielone liście roślin i płatki kwiatów. Wrażenie nierealności tego, co mnie otacza, jest tak wielkie, że trudno mi nad niem zapanować. Wszystko wydaje mi się obce. Ludzie i przedmioty są karykaturami, budzącemi politowanie, ze względu na brak — możnaby rzec — artystycznego wykończenia. Nigdybym nie pomyślał, ile błędów cechuje to, co zwykliśmy uważać za piękne... Nie mogę patrzeć nawet na ulubione moje obrazy, gdyż widzę, że farby ułożone w pewnych miejscach za grubo i że następstwem tego są efekty, wprost niesamowite...

Dziś, po dwudziestu czterech godzinach, pogodziłem się już z myślą, że brzydota rządzi światem i że łudzimy się, uważając kogoś lub coś za godne podziwu, ze względu na cechy zewnętrzne. Nie mogę jednak przyglądać się spokojnie własnej postaci, własnym rękom i własnej twarzy. Skóra, pokrywająca je przybrała odcień brudno-różowy, a przez tkanki zdają się przeglądać czerwone linje tętnic. Barwik krwi nie uległ jednak przeinaczeniu w moich oczach, a raczej jeszcze bardziej się uwydatnił... Budzi to wstręt i obrzydzenie.

Dopiero teraz rozumiem, dlaczego kot mój przypatrywał się z takim przestrachem zmienionemu otoczeniu. Dziś na mnie przyszła kolej przypatrywać się jemu, z uczuciem lęku. Sierść zwierzęcia zbielała i zmatowiała, oczy płoną jakimś niesamowitym blaskiem, ale co najdziwniejsze, widzę wokół niego, jakby mgłę, unoszącą się nad nim i spowijającą go warstwą kilkucentymetrową. Podobną mgłę zdaje się dostrzegać i wokół mojej osoby, wnoszę zatem, że są to uwidocznione wyziewy naszej skóry... Patrzymy na siebie wzrokiem nieprzyjaznym. Doznaję wrażenia, że zwierzę zabiłoby mnie, gdyby mogło... tak obmierzłym muszę mu się wydawać. A nie rozumie przecież, że ja jestem przyczyną jego stanu!

Wyjdę z domu, aby ochłonąć... Pragnę zaczerpnąć świeżego powietrza...

14 marca (w południe). — Wróciłem do domu... Działanie preparatu potęguje się, to nie ulega wątpliwości. Zrobiłem doświadczenie z pryzmatem szklannym, przez który

przepuściłem światło słoneczne. Mogę być dumny z eksperymentu. Moje słoneczne widmo składa się nie z siedmiu, ale co najmniej z piętnastu kolorów tęczy. Nic dziwnego, że jestem tak czuły na wszelkie usterki w zabarwieniu przedmiotów. W każdym kolorze widzę mieszaninę barw, a wypadkowa ich przyprawia mnie o wrażenia wzrokowe zgoła niepożądane. Pocieszam się jednak, że działanie mojej „heljotropiny" nie może trwać wiecznie. Muszę odpowiednio zneutralizować składniki preparatu, gdyż, jak się okazuje, mieszanina wywołuje niesamowite skutki...

15 marca. — Jestem przerażony. Wrażenia, jakich doznaję, przybrały charakter makabryczny. Wzrok mój stał się tak przenikliwy, że widzę poprzez miękkie części kości mego szkieletu i szkieletu mego kota. Zakres widzenia moich oczu zwiększył się zatem pod wpływem preparatu. Widocznie nieobjęte zwyczajnem widmem słonecznem promienie ultrafioletowe posiadają własność przenikania przez skórę i szereg substancyj. Tem się tłumaczy, że wiele przedmiotów, na które dziś patrzę, przybrało w mych oczach wygląd, jakby galaretowaty. Wiem, że są one twarde i spoiste, ale widzę je inaczej. Postępujące zaostrzanie się mego wzroku przenosi mnie zwolna jakby w krainę upiorów.

Szkielety zwierząt i ludzi obserwowane przeze mnie, który jestem również kościotrupem, w otoczeniu mglistem, zatartem, pozbawionem wyraźnych cech jednobarwności, wpajają we mnie przekonanie, że przestałem żyć, przestałem istnieć i że w jakiś dziwny sposób przekroczyłem granice rzeczywistości. Sądzę, że widziałbym, jak duch, przez ściany, gdyby nie ich grubość. I tak widzę rzeczy dziwne. Widzę, że każda istota żywa przebywa stale, jakby we mgle, że nawet rośliny wydzielają z siebie mglistą emanację. Widzę, że niebo w jasny dzień jest roziskrzone gwiazdami i że błękit jego jest właściwie purpurą. Oczy moje przenikają obecnie łatwo ciemności tak, że mógłbym nawet czytać w nocy, gdyby nie to, że karty książek wydają mi się przeźroczyste, a druk w następstwie tego niewyraźny.

Gdybym chciał opisywać moje wrażenia wzrokowe, nie starczyłoby papieru. Wszystko dosłownie zmieniło się dokoła mnie, dlatego, że coś zmieniło się we mnie. Tak, organizm człowieka nie jest przystosowany do tego rodzaju wrażeń, jakkolwiek zmianie uległy czynności tylko jednego zmysłu. Ale nie mam wyboru...

16 marca. — Niestety to, co pisałem wczoraj, jest dziś bezprzedmiotowe... Apis, kot mój zdechł... Zdechł bez wyraźnej przyczyny, spokojnie i niespostrzeżenie. Kiedy wróciłem z mojej wędrówki po ulicach miasta, oszołomiony nowemi wrażeniami, zastałem go śpiącego w kącie pokoju. W dwie godziny później był zimnym trupem... A więc tak

kończy się moje doświadczenie. Działanie „heljotropiny" jest ostatecznie zabójcze...

Przyznaję, że myśl ta przeraziła mnie zrazu. Wiem, że i mnie czeka podobny koniec... Ale prędko odzyskałem równowagę. Triumf i śmierć... śmierć na polu nauki! Czyż mogłem spodziewać się piękniejszego rozwiązania? Żal mi tylko, że odkrycie moje będzie bezużyteczne. Nie będę miał sposobności opracowania odpowiedniej metody leczniczej. A czuje, że dałoby się wiele zrobić na tem polu... Kto wie, czy nie możnaby nawet przywrócić ślepym wzroku, przynajmniej w niektórych wypadkach? Powinienem pozostawić jednak notatki dla moich następców Może ktoś szczęśliwszy doprowadzi dzieło moje do końca... Tak... jutro zabiorę się do mego naukowego testamentu. Nie będzie to łatwe, gdyż pisanie sprawia mi trudność. Litery skaczą przed mojemi oczyma... Zapewne i atrament, którego używam jest lichy i małowartościowy. Zresztą, jestem dziś jeszcze, jak oszołomiony. Bądź co bądź, muszę oswoić się z myślą o śmierci...

Twarz moja jest zapewne bardzo zmieniona, gdyż gospodyni, którą przywołałem, aby usunęła z mieszkania zdechłego kota, nie mogła powstrzymać się od zapytania: „Co panu jest, doktorze? Jest pan blady, jak kreda"...

Przyglądałem się przez chwilę temu mówiącemu szkieletowi, w którego szczękach poruszał się cień języka, ale nie dałem odpowiedzi.

Wyjąłem kieszonkowe lusterko, aby przekonać się o prawdzie słów tej kobiety i... nie zobaczyłem nic. Zwierciadło przestało być zwierciadłem. Było zupełnie przeźroczyste. Widocznie warstwa cynobru na jego odwrotnej stronie nie stanowiła przeszkody dla mego wzroku, który przenikał przez lustro nawskroś. Człowiekiem bez twarzy byłem już od dwóch dni, teraz nie miałem nawet możności przyglądania się własnej czaszce...

Tegoż dnia wieczorem.

Wróciłem z wędrówki, która może będzie ostatnią w mem życiu. Chciałem raz jeszcze spojrzeć na zieleń drzew i jasną purpurę nieba... Chciałem pożegnać się z tem zbiorowiskiem milczących kamienic, które nie zmieniły kształtów i wyglądu... One jedne... One i te kamienne pomniki na cokołach... Ludzie przestali bowiem być już dla mnie ludźmi. Nie rozpoznaję przecież rysów ich twarzy, nie widzę ich cielesnych znamion, nie mogę odróżnić nawet ich szat, których ledwie uchwytne cienie majaczą czasem przed mojemi oczyma... Cóż mi z tego, że w ich gronie miałem przyjaciół i kolegów?... Dziś przechodzę obojętnie obok najserdeczniejszych druhów, gdyż widzę tylko ich kościec...

Ulegając impulsowi chwili, wstąpiłem do kościoła. Zwabiły mnie do niego pobożne pieśni i śpiew kapłana. Mroczna zazwyczaj nawa była pełna światła... a może tak mi się tylko zdawało? Na ołtarzu płonęły ogniki przeźroczystych świec... Podobny ognik migotał na wprost ołtarza. Ale obok tych znanych mi dobrze płomyków, widziałem jeszcze inne... Żarzyły się one na dnie oczodołów dziesiątków ludzkich szkieletów, które klęczały, pochylone, biły się w piersi kościstemi rękoma i poruszały żuchwami, szepcąc modlitwy. Dym kadzideł, unoszący się w powietrzu, wydał mi się gęstszy... Tworzył duże kłęby, które ścieliły się do stóp zebranych, spowijały Wielki Ołtarz i przysłaniały czasem obrazy na ścianach. Na stopniach poza balustradą z mosiężnych prętów, kołysał się szkielet, przybrany w złocisty ornat, dzierżąc w niewidzialnej dłoni kadzielnicę... zgóry, na cały ten tłum szkieletów spoglądał marmurowy Chrystus, rozpięty na marmurowym krzyżu.

Patrzał, jak patrzał zawsze na modlących się tutaj zebranych, niezmienny w swym dobrotliwym uśmiechu i pełnych litości oczach.

Śpiew rozlegał się coraz donośniej, obecni modlili się coraz żarliwiej, a ja, człowiek, stojący nad grobem, nie mogłem wyjść z podziwienia, nie mogłem zdać sobie jasno sprawy, że ten cały tłum szkieletów, nagich i ohydnych w swej brzydocie, przedstawia jednak świat żywy... a te widniejące w kościele postacie świętych, zakute w kamień, martwe i nieruchome — tylko świat symboli. Albowiem symbole te były mi w tej chwili bliższe i bardziej zrozumiałe, niż cienie ludzi, z którymi pożegnałem się na zawsze..."

Na tem kończy się dziennik ś. p. dra Stefana Brzechwy. Mimo, że śmierć jego nastąpiła dopiero w sześć dni po skreśleniu ostatniej notatki, zmarły nie pozostawił żadnego listu, żadnego pisma i żadnego naukowego testamentu. Trudno rozstrzygnąć, co było powodem zmiany jego postanowienia, sądzę jednak, że w ciągu tych dni działanie preparatu spotęgowało się jeszcze bardziej i że wspomniana przez uczonego „heljotropina" wpłynęła niekorzystnie na czynności jego mózgu, osłabiając wolę i zdolność rozumowania. Takie przynajmniej jest przekonanie profesora Koreckiego, naszego znakomitego neurologa i psychjatry i takiem też zdanie ludzi, którzy o ostatnich chwilach nieboszczyka wiedzieli więcej, niż ogół. Zmarły złożył życie na ołtarzu nauki i padł ofiarą swego wynalazku. Niechaj karty tego dziennika będą nietylko świadectwem jego wysiłków, ale i próbą rehabilitacji w oczach tych, którzy z nieuzasadnionych powodów widzieli w nim tylko szaleńca.

Odwet Prometeusza

Kiedy Prometeusz skradł bogom olimpijskim ogień, został, jak wiadomo, dotkliwie za to ukarany. Nietylko on sam jednak, ale cała ludzkość od owej chwili płaci nieustanny haracz w postaci ofiar ludzkich i majątkowych za ten prometejski czyn. Jak z jednej strony płomień jest dobroczyńcą ludzkości i stał się podstawą rozwoju cywilizacji i kultury, tak z drugiej znów jest on powodem wielu nieszczęść i tragedyj. Katastrofy pożarów zdarzały się i zdarzają jeszcze tak często, że stosunkowo bardzo dawno już ludzie zabrali się do ich zwalczania, bał utworzyli nawet specjalne organizacje i zespoły strażackie, które dniem i nocą czyhają na tego zdradliwego wroga ludzkości i strażak stał się niejako symbolem ludzkiej zapobiegliwości.

Wielu ludzi wyobraża sobie, że ogień i woda, to dwa skrajnie przeciwne sobie żywioły, a pojęcie to stało się wprost przysłowiowe. Tymczasem w rzeczywistości zupełnie tak nie jest; istnieją wypadki, i to bardzo częste, że woda bynajmniej nie gasi pożaru, a nawet nieraz przyczynia się do wzmożenia ognia. Weźmy np. taki wypadek, jak płonącą benzynę czy naftę. lub inne węglowodory, albo też spirytus; w tych wszystkich wypadkach woda nie może być użyta do gaszenia, gdyż jako cięższa od tych płynów idzie na dno nie przeszkadzając zupełnie płomieniom, a przez rozlewanie się unosi ze sobą płonący płyn i rozprzestrzenia pożar. Czasem znowu dopiero przez zawilgocenie wzmaga się pożar np. przez wywołanie krótkiego spięcia zwilżonych przewodów elektryczności. Były już wypadki, że strażak trzymający sikawkę, z której wydobywał się strumień wody na płonący dom, został porażony prądem elektrycznym? Jakże się to stało? Oto nieszczęsny człowiek uderzył strumieniem wody w przewody elektryczne wysokiego napięcia. Prąd elektryczny spłynął strumieniem wody na ciało strażaka, powodując śmiertelne porażenie. A zatem nie zawsze woda gasi ogień, chociaż jest najczęściej do tego celu używana. Jaka więc jest właściwie rola wody przy gaszeniu pożarów? Najważniejsze jej zadanie, to jest ochładzanie ogniska. Do tego celu woda doskonale się nadaje. Pod wpływem ciepła bowiem woda paruje i przy tem parowaniu zużywa ogromne ilości ciepła, które w fizyce nazywa się ciepłem parowania. Prócz tego użycie wody ma na celu odizolowanie płonącego przedmiotu od powietrza, bez którego (ściślej mówiąc bez zawartego w nim tlenu) ogień jest wogóle niemożliwy. Bo przecież zjawisko palenia się, to nic innego, jak reakcja chemiczna, polegająca na łączeniu się materjału palnego z tlenem. Odetnijmy dopływ tlenu, a zgasimy najsilniejszy pożar, przeciwnie zaś polejmy skroplonem powietrzem, które jest przecież niesłychanie zimne, jakiś palący się przedmiot, a rozgorzeje jeszcze bardziej.

A zatem najlepiej przeciwdziałamy pożarowi, jeśli dookoła płonącego przedmiotu wytworzymy jakąś zasłonę niedopuszczającą powietrza. Jest rzeczą ciekawą, że także i woda, ten starodawny środek gaśniczy, jest obecnie używana pod tym kątem widzenia. Oto najnowsze metody gaszenia pożaru zapomocą wody polegają na tzw. atomizowaniu wody, czyli rozdrabnianiu jej na drobniutkie cząsteczki mniejsze aniżeli 1 tysiączna mm. Taką zaporę z mgły wodnej wytwarzają czasem strażacy zapomocą specjalnych aparatów, pozwala im to zbliżyć się znacznie do centrum pożaru. Oczywiście paruje woda w takiem rozdrobnieniu intensywniej i tem samem silniej oziębia ognisko.

Przy tej sposobności zaznaczamy odrazu, chociaż nam wypadnie jeszcze później do tego powrócić, że nowoczesne pożarnicze motopompy dostarczają sikawkom wodę pod ciśnieniem bardzo wysokiem, wynoszącem nieraz kilkadziesiąt atmosfer. Z jednej strony umożliwia to intensywną akcję ratunkową nawet w znacznej odległości od miejsca pożaru, gdyż strumień wody może być bardzo długi i sięga bardzo wysoko. Z drugiej znów strony odgrywa dużą rolę siła, z jaką woda uderza w ogień.

Wróćmy jednak do środków walki z pożarami, bardziej dostępnych dla laików. Każdy chyba wie o tem, że łatwiej jest stłumić pożar w zarodku prostymi środkami, aniżeli szalejący żywioł skomplikowanemi machinami gaśniczemi.

Czasem wiaderko wody użyte we właściwej chwili i w sposób właściwy może zapobiec wielkiemu nieszczęściu; jeśli mianowicie woda z takiego wiadra rozlewa się szeroko, jak obrus i przykrywa sobą cały zaczynający się palić przedmiot, to można w ten sposób stłumić ogień w zarodku, również zresztą wilgotny lub nawet suchy koc jest domowym środkiem nie do pogardzenia w pożarnictwie. Istnieją rozmaite naboje, rodzaj granatów pożarniczych, zawierających składniki tłumiące ogień, oddające również znaczne usługi.

Najczęściej jednak używa się tak zw. gaśnic. Każdy z nas spotkał się już z taką gaśnicą w wagonie kolejowym, autobusie, w teatrze lub w kinie. Każdy też zna te niezwykle proste napisy, umieszczone na gaśnicach, zawierające krótkie i dosadne informacje o używaniu gaśnic, ale napewno wielu z Czytelników nie zastanawiało się nad tem, co właściwie zawiera ta gaśnica i na czem polega jej działanie. Przecież chyba nie na samem zalewaniu wodą? Bo tej wody w takiej gaśnicy 10-litrowej zbyt mało się przecież mieści. Istnieje kilka rodzajów gaśnic, dostosowanych do poszczególnych wypadków, zależnie od przedmiotu którego pożar jest w danem miejscu najprawdopodobniejszy. Inna więc będzie gaśnica w samochodzie, gdzie może się zapalić benzyna, inna w teatrze, a jeszcze inna tam, gdzie grozi pożar z powodu krótkiego spięcia. Z wielkiej ilości istniejących typów wybierzemy kilka, pomijając te, które są bardzo rzadko używane lub też przestarzałe.



W czasach pokoju na miano bohaterów zasługują przedewszystkiem strażacy, walczący z niszczycielskim żywiołem ognia.

A więc najbardziej rozpowszechnione są dzisiaj gaśnice pianowe. Posiadają one po największej części kilka zbiorników, których zawartość miesza się ze sobą, gdy gaśnicą uderzymy o podłogę, albo też ją obrócimy. Tymi składnikami jest najczęściej jakiś kwas, albo sól kwaśna, np. kwas siarkowy lub siarczan glinu. Prócz tego znajduje się w takich gaśnicach zawsze dwuwęglan sodu, czyli tzw. soda jadalna, rozpuszczona we wodzie oraz jeszcze jakiś środek pieniący, np. korzeń mydlany sproszkowany lub sapomina. Działanie gaśnicy pianowej wygląda więc następująco: pod wpływem kwasu wytwarza się podczas mieszania składników zawartych w gaśnicy dwutlenek węgla, czyli tzw. kwas węglowy w znacznej stosunkowo ilości. Ten gaz powoduje, że zawartość gaśnicy wydobywa się na zewnątrz ze znacznem ciśnieniem i z wielką siłą, tak jak strumień wody z sikawki. Środek pieniący, który rozpuszcza się w tym płynie powoduje, że ciecz wydobywająca się na zewnątrz jest pianą. Z 10-litrowej gaśnicy może się wydobyć około 100 litrów piany, która składa się z pęcherzyków wypełnionych dwutlenkiem węgla, a więc gazem tłumiącym ogień. Piana posiada tę właściwość, że padając na płonący przedmiot i jego otoczenie, nie znika tak prędko, jak np. sama woda, albo sam gaz dwutlenku węgla, izolując więc niejako płonący przedmiot od powietrza, a przez to samo gasi pożar.

Widzimy więc, że taka gaśnica pianowa jest czemś w rodzaju wilgotnego koca, który rzucamy na płonący przedmiot, aby go zakryć i przydusić ogień. Działanie piany jest tak korzystne, że używa się tego rodzaju gaśnic nawet przy tłumieniu pożarów, do których wody nie można użyć, jak np. do gaszenia płonącej benzyny.

Inny jeszcze mniej skomplikowany rodzaj gaśnic służy do gaszenia pożarów tzw. suchych, oraz w miejscach, gdzie są przewody elektryczne. Tam nie można używać wody, tylko innych środków, tłumiących również ogień, ale nie przewodzących prądu elektrycznego. Istnieje tu całe mnóstwo środków. Wymieńmy jednak choćby tylko gaśnice, zawierające czterochlorek węgla. Jest to płyn bardzo zbliżony do chloroformu, ale o innych naturalnie własnościach i jest prawdziwym pogromcą ognia. Okazało się bowiem, że wystarczy gdy znajduje się w powietrzu mały procent par czterochlorku węgla, aby w takiej atmosferze nic się już nie mogło palić. Niestety ten świetny środek gaśniczy, który może być używany do gaszenia pożarów wszelkiego rodzaju ma pewną wadę: a mianowicie w niektórych wypadkach istnieje możliwość, powiedzmy tylko teoretyczna, że z czterochlorku węgla powstaje fosgen.

Prócz czterochlorku węgla istnieją również inne środki do gaszenia pożarów, dające się użyć w każdym niemal wypadku, a szczególnie do gaszenia tzw. pożarów suchych. Istnieją np. gaśnice, zawierające skroplony dwutlenek węgla, czyli ten sam gaz, o którym już wyżej wspominaliśmy, a który znany jest każdemu Czytelnikowi z tego, że stanowi on czynnik powodujący musowanie wody sodowej. Gdy więc taki skroplony dwutlenek węgla wydobywa się nagle na zewnątrz, to rozpręża się i oziębia bardzo znacznie. Powstaje z niego śnieg, zwany „suchym", bo nie topnieje, tylko zamienia się na gaz. Suchy śnieg padając na płonący przedmiot działa na niego silnie oziębiająco, gdy temperatura jego wynosi około minus 79 stopni C. Prócz tego śnieg zamieniając się z powrotem w gaz, który, jak już wspomnieliśmy, nie podtrzymuje ognia, przyczynia się do gaszenia pożaru.

Prócz opisanych istnieją także gaśnice, dość często używane, których piana nie powstaje w sposób chemiczny, tylko raczej mechaniczny. Jeśli np. puścimy powietrze przez wodę mydlaną, to powstanie, jak wiadomo, silna piana. Gdy wydobywa się ona pod dużem ciśnieniem, tłumi ogień, mimo, że w tym wypadku w bańkach piany znajduje się powietrze, a nie dwutlenek węgla.

Niemal paradoksalne zjawisko wyszło na jaw podczas badań francuskich uczonych, głównie prof. Dufraise z „Collège de France". Okazało się bowiem, że niektóre ciała, o których skądinąd było wiadomem, że podtrzymują ogień, działają w bardzo wielu wypadkach jako środki tłumiące pożar, tak np. saletra, jeden ze składników prochu strzelniczego, działa w stanie sproszkowanym jako środek gaśniczy. Tak samo chloran potasu znany powszechnie pod nazwą kalichlorikum, używany do różnego rodzaju petard i ogni sztucznych posiada w wielu wypadkach tę własność.

Jeśli chodzi o nowoczesny sprzęt pożarniczy używany przez straż pożarną w największych miastach świata, to należy na zakończenie zaznaczyć, że posługują się one t. zw. motopompami, które wyrzucają nieraz kilkaset tysięcy litrów na godzinę i to pod ciśnieniem kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu atmosfer. Najnowsze tego rodzaju motopompy mają zarazem możność wyrzucania prócz strumienia wody także i piany. Piana ta powstaje przeważnie drogą mechaniczną, a zatem pod wpływem powietrza z roztworu mydlanego, którego zapas zawsze w takiej motopompie się znajduje.

Na paryskiej wystawie światowej w r. 1937 użyte zostały okręty gaśnicze, specjalnie przeznaczone do gaszenia pożarów. Były one zaopatrzone w wyżej opisane motopompy, których siła była tak wielka, że mogły one rzucać strumień wody długości 3 km na prawy i lewy brzeg Sekwany. Wodę oczywiście czerpie taki okręt-gaśnica z samej rzeki. W miastach położonych nad wodą takie okręty-gaśnice mogą oddać znaczne usługi, zwłaszcza w czasie wojny i w obronie przeciwlotniczej.

Inż. J. A.

PRZED WYROKIEM LOSU
ARTYSTKA FILMOWA VIVIANE ROMANCE.



Sałatka obyczajowa z przed dwu wieków

Prócz przysłowia „za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa“ niewiele dziś zostało w naszych pojęciach z obrazu tamtych czasów i tamtego życia — i użycia. Dlatego tak miłą, rozweselającą, to znów aż wprawiającą w zdumienie, jest lektura pamiętników, pisanych pomników owej epoki. Ileż n. p. szczegółów z życia i obyczajowości naszych pra-pra-pra-przodków znaleźć można u ks. Kitowicza! Niech wolno będzie garść, ot na chybił trafił wybranych, rysów obyczajowych ówczesnego tak barwnego i hucznego życia, przypomnieć czytelnikom.

Post już się kończy. Wszędzie wyczuwać się daje nastrój pełen coraz niecierpliwszego oczekiwania świąt i związanych z niemi zabaw.

Jeszcze Wielka Środa. Poważny nastrój Wielkiego Tygodnia zakłócają żacy. To wpadłszy na „ciemną jutrznię“ straszny czynią harmider, tłukąc kijami w pulpity księże, a nieraz i po plecach wypędzających ich sług kościelnych. Gdy im tę zabawę przerwano, znaleźli inną. Włóczą oto przed kościołem kukłę Judasza uczynioną ze słomy, aż strąciwszy bałwana z wieży, roznieśli go na kijach. Biada żydowi, jeśli się znalazł w pobliżu!

Jeszcie Wielki Czwartek. Po mieście rozlegają się grzechotki a wokół kościołów toczą na kołach wielkie klekoty, swym jazgotem, miast dzwonów, wzywające okolicznych wiernych na nabożeństwo. W małych dworach na prowincji, pańska drużyna z radości, że post już się skończył, urządzała pogrzeb żuru. Znalazł się naiwny, gotów nieść garnek z żurem na głowie lub w sieci na plecach, a za nim postępował „grabarz“ z motyką. Uderzywszy nią w garnek, zalewał żurem niosącego. Bywało też: wiązano śledzia na długim sznurze i wieszano na przydrożnem drzewie z zemsty, że przez sześć niedziel morzył sobą żołądki.

Wreszcie nadeszły Święta! Wśród huku petard, często nieszczęśliwe powodujących wypadki, zaczynał się okres radości. Szczytem zabawy świątecznej był dyngus, panujący powszechnie także i wśród dystyngowanego towarzystwa. W poniedziałek Wielkanocny mężczyźni oblewali kobiety, a one rewanżowały się im we wtorek, uzurpując sobie to prawo aż do Zielonych Świątek, choć zwykle po paru dniach kończyła się zabawa. A do jakich rozmiarów dochodziła, świadczy fakt, że nieraz hajducy wiadrami nosili wodę a państwo czerpali z nich czem się dało, gonili się i oblewali, zamieniając pokoje w jeziora i stawy. Nic też dziwnego, że przezorniejsi, szczególnie młode małżeństwa, co cenniejsze sprzęty na ten dzień ukrywali w bezpieczne miejsca. Zwyczaj dyngusu tłumaczono sobie różnie: raz jako pamiątkę oblewania przez żydów gromadzących się mieszkańców Jerozolimy, komentujących Zmartwychwstanie Pańskie; to znów jako pamiątkę gromadnych chrztów, które odbywały się przez wpędzanie do wody. Jeszcze inną genezę dyngusu podaje w swych „Nowych Atenach“ Benedykt Chmielowski. Widzi w nim pozostałość prastarego zwyczaju, biorącego swój początek w czasach królowej Wandy, której służebne w rocznicę śmierci jej na znak żałoby oblewały się wodą.

Zaostrzone postem apetyty nareszcie mogły znaleźć zaspokojenie. A trzeba wiedzieć, że obżarstwo i pijaństwo to nietylko jedne z grzechów główmych tamtych czasów, ale i źrenica życia towarzyskiego. Apetyty były niezgorsze, ale pragnienia już wręcz fenomenalne! Dania musiały być kopiate, a bywało ich do sześćdziesięciu. Półmisek z pieczystem dla jego wielkiego ciężaru nieraz dwu musiało nieść hajduków. Profesja kucharza stała się wielce szanowną i niemniej zróżniczkowaną. Cechą kuchni ówczesnej było wysilanie się na zamaskowanie potraw oraz ich dekoracje. Jak ta zewnętrzna strona spraw kulinarnych była wspaniała, tak znów ówczesne „sposoby“ kucharskie wydają nam się dziś co najmniej dziwne. Owa „gęś czarna“, której kolor dawał niegdyś palony wiecheć słomy, często z buta wyjęty, z dodatkiem octu, cukru i goździków, należała już do rzadkości, ale za to powszechnie używane były płatki do farbowania cukrów i galaret, w których można było znaleźć strzępki koszul i „pluder, które gaciami zowią“.

A jak różnorodne były przepisy na sosy, dziwolągi kulinarne, pieczenie, pasztety! — A wszystko pieprzne, korzenne a zawiesiste, co znów było stałą cechą kuchni polskiej. Tych ostrych przypraw zaniechano dopiero z wydelikaceniem się smaku, z wprowadzeniem kawy i herbaty, o których jeszcze z początkiem XVIII w. mówi się jako o artykułach medykalno-aptecznych.

Przykład szedł z góry. Wszak kuchnia Augusta III uchodziła za najwykwintniejszą w Europie a rarytasem w niej był specjalnie dla królowej przynoszony sztokfisz kapucyński, zwany tak od zakonu, który słynął z jego przyrządzania. Czego się wtedy nie jadło! „Owady i obrzezki (okrawki), któremi się ojcowie ich jak nieczystością brzydzili. Jedli żaby, żółwie, ostrygi, ślimaki i granele, to jest jądra młodym jagniętom i ciołkom wyrzynane, grzebienie kurze i nóżki kuropatwie, same paluszki nad świecą woskową przypiekane, którym sama imaginacja jakiegoś smaku dodawała, sałaty, ogórki, musztardy i inne surowizny, które dawano do sztuki mięsa i pieczeniów“.

Nic dziwnego, że takie obfite i ostre potrawy trzeba było odpowiednio „podlewać“. Najpierw więc gospodarz pił zdrowie swych gości, wyliczając ich wedle godności, a każdy z wymienionych miał prawo pić do swych współbiesiadników, również kolejno ich wymieniając, co straszny czyniło rozgwar. Potem gospodarz przypijał do najgodniejszego, i tak koleją — a wszyscy za każdym toastem wstawać musieli, od czego jeszcze przed upiciem się można była osłabnąć. Pito z jednego puharu, co najwyżej wycierając go serwetą. Dopiero z wprowadzeniem szklanych kielichów „nastała obrzydliwość cudzej gęby“.

Były to wprost tortury pijackie. Wykręcić się od picia było niemożliwością. Nawet pod stołem czyhali słudzy z flaszkami, by dolewać uciekinierom. Gdy wprowadzono kawę, stała się ona deską ratunku dla malkontentów-pijaków. Kto sięgał po kawę, tego nie wolno już było napastować kielichem.

Adam Machałowski, krajczy koronny, zmuszał do wypicia jednym tchem półgarncowego kielicha (2 l.). Gdy delikwent nie wydołał, nalewano mu znowu. Aż raz wynalazcę tej sztuki w kozi róg zapędził skromny bratkwestarz bernardyn, wypijając 6 po kolei takich kielichów. Borejko, kasztelan zawichostki urządzał 3—5-ciodniowe „klasztory“ pijackie. Były melodje, grane przez kapelę — nim przebrzmiały, puhar trzeba było wysuszyć. Istniały gry nieomal pijackie. Piło się n. p. na trzy zawody. Po pierwszem oderwaniu ust od kielicha trzeba było pogładzić się raz po lewym wąsie, raz po prawym, raz po brodzie i raz pod brodą, stuknąć palcem raz w wierzch i raz w spód stołu i raz stopą w podłogę i rzec: „piwo“. Za drugim razem trzeba było ruchy te wykonać dwukrotnie i powiedzieć: „dobre“. Za trzecim razem wszystko to powtórzyć trzy razy i rzec: „nalej“. Ktoby się pomylił lub nie dopił kielicha, zaczynać musiał od nowa spełna nalanym kielichem. Pito wino i piwo dla utrudnienia z wymyślnych naczyń, dawniej nawet z butów cholewiastych i pantofelków damskich, z kijów szklanych z gałką na końcu, trąb i waltorni.

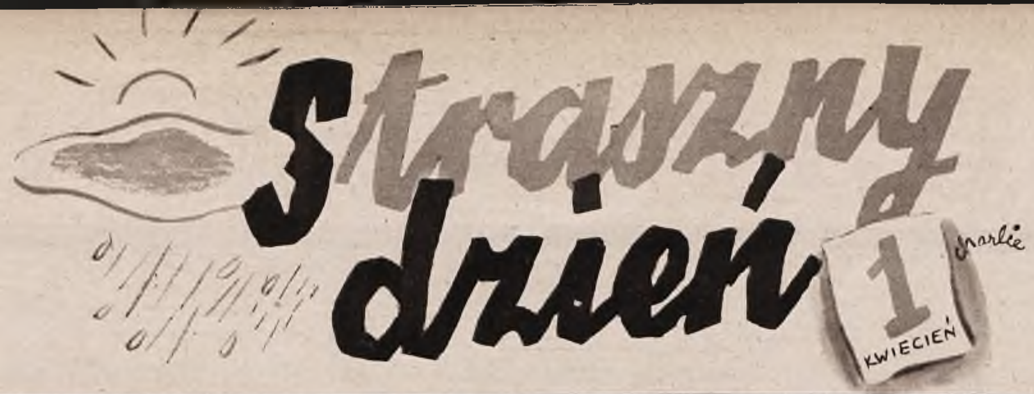
To nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu wymagało zwłaszcza w okresie przedświątecznym odnowienia zapasu rozlicznych a niezbędnych w kuchni ingrediencji i konfektów. A niemałe to były ekspensa.

W przewidywaniu licznego zjazdu na Wielkanoc, wybiera się gospodarz w podróż, gdzież by jak nie do Warszawy. Jako że nie należał do wytwornych podróżnych więc pewnie w tobołkach nie znaleźlibyśmy sprzętu pewnego... składanego i zamykanego na klamry, że wyglądał jak księga jaka wielka. Pewnie nie malował grzyw i ogonów końskich, jak to robił Stanisław Lubomirski, ale też pewnie za nim nie wyruszyłby w podróż jedną tylko kolasą i to jeszcze co najmniej poszóstną.

Ówczesna Warszawa miała już kilka tytułów do sławy. Jednym z ważniejszych była tabaka. Stała się ona nawet przyczyną sensacyjnego procesu. Znano już wprawdzie tabakę mieloną z kafli tytoniu krajowego i sprowadzaną z St. Omer, ale tabakę proszkową wynaleziono dopiero w Warszawie. Wynalazczynią była Włoszka z Syrakuz, podpisująca się Sirakuzana, a zwana popularnie — uczciwszy uszy — Srajkoziną. Otóż owa Sirakuzana przyrządzała tabakę z lawendą t. zw. lawendową lub z olejkiem pomarańczowym zwaną pergamata. Do obu

Dokończenie na str. 31-ej.

Straszny dzień



HUMORESKA B. BRZEZIŃSKIEGO ★ ILUSTRACJE CHARLIE'GO

Pan Teofil Muszka miał dobry dzień. Znalazł w tramwaju 50 groszy, jego kolegę skrzyczał okropnie naczelnik wydziału, a wieczorem pan Muszka wygrał w brydża 3.80, przyczem miał raz licytowanego szlemika i raz nielicytowanego szlema. Poprostu dzień, jaki się rzadko zdarza w życiu! To też pan Muszka wrócił do domu w znakomitym humorze. Kolacji już nie jadł, gdyż Kolumbowscy dołożyli niezłą kolację do owych 3.80. Wypił więc tylko szklankę herbaty z cytryną i w doskonałym humorze położył się spać. W łóżku przeglądał jeszcze z zainteresowaniem ostatni numer „Asa", a ponieważ natrafił na humoreskę Brzezińskiego i zaczął ją czytać — rzecz jasna, że natychmiast zasnął. Nazajutrz wstał wyświeżony i wypoczęty i pogwizdując melodję „Tanga-bolero", zabrał się ochoczo do tak zwanej toalety. Ogolony i czysty wyborowy, zasiadł do śniadania. Kakao smakowało mu wyjątkowo, a bułeczki trzeszczały w posadach i pachniały upajająco. Gdy wychodził z domu, gwizdał „Poskramiacza węży". Niemal tanecznym krokiem przebył drogę, dzielącą jego ognisko domowe od przystanku tramwajowego. — Wkrótce nadjechał oczekiwany numer.

— A to dobry numer z niego! — pomyślał szalenie dowcipnie pan Muszka i lekko, jak sarenka z buraczkami, wskoczył na stopień.

Był to jednak pierwszy stopień do piekła — o czem pan Muszka narazie, niestety, nie wiedział...

Pan Muszka rozłożył kupioną przed chwilą w kiosku gazetę i zaczął czytać. Był mocno zdziwiony, że Niemcy w ciągu poprzedniego dnia nie zajęli żadnej nowej ziemicy, ale zdumienie jego było jeszcze większe, gdy zauważył, że tramwaj mknie wesoło jakąś nieznaną ulicą.

— Panie konduktorze! — zawołał pan Muszka, pobladłszy lekko. — Czy my dobrze jedziemy?

— Dobrze, bo szybko — odparł konduktor i, jak się panu Muszce zdawało, zrobił oko do motorniczego.

— Ale... ale ja tej ulicy nie znam... Nigdy tędy nie jechaliśmy!

Teraz konduktor już nie wytrzymał i wybuchnął lawą śmiechu.

— Haha, w znaczeniu nie prezydent, ale w znaczeniu: a to śmieszne! — wykrzyknął. — Prima aprilis, prima aprilis, drogi panie, dziś jedziemy dla kawału inną drogą!

— No dobrze, ale moje biuro...?!' — jęknął pan Muszka i wyskoczył z pędzącego tramwaju.

Był w odległej dzielnicy. Spojrzał na zegarek: trzy minuty po ósmej. Przepadło — już się spóźnił. W popsutym zupełnie, podniszczonym humorze ruszył jakąś nieznaną ulicą.

— Wstąpię do kawiarni i zatelefonuję stamtąd, że jestem chory i że dziś nie przyjdę do biura — postanowił i odetchnął z ulgą, iż wpadł na taki kapitalny pomysł.

Wszedł do małej kawiarenki i połączył się z biurem.

— Czy mogę prosić do telefonu pana Ździebko? — powiedział.

— Jestem przy telefonie — odparł dość piskliwy głos.

— A, to ty, stary. Nie poznałem cię na-



— Nie jestem Ździebko! Tu mówi pański szef!!!

razie... Tu Muszka. Słuchaj, stary byku, powiedz temu idjocie naczelnikowi, że jestem chory... Uważasz, grypa, dżuma, czy coś takiego... I że, naturalnie, dziś nie przyjdę do biura... Rozumiesz?

— Rozumiem — huknął nagle basem rzekomy Ździebko — ale ja nie jestem Ździebko, tu mówi pański naczelnik, ten idjota!... Chciałem panu zrobić prima aprilis i ładnych rzeczy się dowiedziałem od pana!... No, jeszcze pogadamy z panem, panie Muszka! — i naczelnik cisnął słuchawką z taką pasją, aż panu Muszce zrobiło się zimno, jakby mu ktoś nagle wpuścił za kołnierz spory kawałek lodu.

— Wszystko przepadło! — szepnął tragicznie i powlókł się ku miastu.

Sam nie potrafiłby określić jak długo się błąkał. Dopiero, gdy poczuł głód, zrozumiał, że południe już dawno minęło.

— Tragedja tragedją, ale zjeść coś trzeba — powiedział sobie z determinacją i rozejrzał się przytomniej, aby znaleźć jakąś restaurację.

Znalazł ją wkrótce.

— Najpierw bomba jasnego — oznajmił kelnerowi.

— Służę bardzo! — odparł z ukłonem kelner i po chwili postawił przed panem Muszką kufel pieniącego się trunku. Ale gdy pan Muszka skosztował, oczy wyszły mu na wierzch, jak szydło z worka!

— Ha, ha, pan myślał, że to piwo, a to kwas solny z mydłem! — zaryczał wesoło kelner. — Prima aprilis, prima aprilis!...

— Policja, otruli mnie! — wrzasnął pan Muszka i popędził na Pogotowie.

Wpadł do gmachu, w którym znajduje się Pogotowie Ratunkowe. Ze zdumieniem ujrzał orkiestrę i kilkanaście tańczących par.

— Prima aprilis! — wyjaśnił dyrygent orkiestry. — Dla kawału w gmachu Pogotowia dzisiaj urządziliśmy dancing, a w dancingu „Kukułka" urzęduje Pogotowie. Dobry kawał, co? Niech pan biegnie do „Kukułki", tam pana poratują!

W dancingu przepłókano panu Muszce żołądek i blady i drżący powrócił nasz bohater do domu. Był bardzo osłabiony, to też zaraz udał się do sypialnego, żeby odpocząć chwilę na rodzonym tapczanie. Ale scena, jaką ujrzał, przechodziła jego najśmielsze oczekiwania. Oto jakiś rosły drab siedział na tapczanie, trzymając na rosłych kolanach — — panią Muszkową!!

— Co to znaczy? — jęknął pan Muszka.

— To jest mój cioteczny brat — wyjaśniła z powagą pani Muszkowa. — Nie widzieliśmy się piętnaście lat i właśnie się witamy.

— Widzę, że pan ma istotnie dużo sił w i t a l n y c h i dlatego zapewne tak serdecznie wita pan moją żonę... — mruknął pan Muszka i uśmiechnął się blado.

— Ho, ho, ho — wybuchnęli śmiechem oboje: rosły drab i pani Muszczyna, a drab zawołał: — ja wcale nie jestem jej ciotecznym bratem, ale całkiem obcym facetem!



— Ha, ha, to nie piwo, to kwas solny! Prima aprilis!...



— Prima aprilis, staruszku!

Prima aprilis, mój stary, prima de prima aprilis!

— — — — — — — — — — —

Pan Muszka zadrżał tak silnie, że aż się... obudził. Był to bowiem, na szczęście, tylko taki straszny sen prima-aprilisowy!





KROKUSY, MAGNOLJE I NARTY...



Ostatnie podmuchy mroźnej zimy sparaliżował w dolinie Davosu zwycięski pochód wiosny...

Jeszcze nie dawno temu, stoki gór, pokryte grubą kołdrą śniegu, połyskiwały w słońcu nieskalaną bielą. Dziś zdobi je dywan przedwiośnia, nabierający z każdym dniem koloru soczystej zieleni, gdzieniegdzie tylko przerwanej pasmami firnu. A w samej dolinie, uwolnione od śniegu pola i łąki oddychają już „pełną piersią". Budząca się do życia z zimowego uśpienia natura zdobi je w pierwsze swe klejnoty — kwiaty. Ciepły powiew rozdzwania ich kielichy, a słońce potęguje barwę, którą ścielą się krokusy, przylaszczki i śnieżyczki jak najbardziej wymyślna tkanina... Nad nią przelatuje pierwszy motyl — słychać już brzęk lecącej pszczoły. Biedny motyl! nocą, gdy słońce przysłoni surowy mrok, zginie w objęciach sinego przymrozku...





Od lewej: Pola krokusowe w okolicach Davos. — Kwitnące krzewy magnolji nad jeziorem Genewskiem (w głębi: Zamek Chillon).

Zdjęcia: ZYGMUT BORZĘCKI — DAVOS.



Nad brzegami jezior zaróżowiły się pierwsze krzaki magnolij. Ożywia je rozświergotane ptactwo, co zleciało się z Południa w ślad za postępującą wiosną.

Drogą, wijącą się po zboczu doliny, wyciągnął się sznur postaci, zdążających ku schronisku. Tam na obszernym tarasie rozłożył się obozem zastęp „brązowych twarzy", jak tu nazywają narciarzy, którzy spaleni na miedź w promieniach marcowego słońca, gonią na deskach uciekającą ku samym szczytom zimę. Ich gwar i radosny śmiech jest tam ostatniem echem powoli kończącego się sezonu narciarskiego. Przeważnie to Amerykanie, Anglicy i Holendrzy — możni tego świata przebywający całą zimę w Szwajcarji, szczęśliwi mieszkańcy krajów, nieznających ograniczeń paszportowych, dewizowych i innych tym podobnych „przyjemności". Codziennie, skoro tylko słońce wypłynie z za lodowych szczytów na błękitną taflę nieba, wyjeżdżają oni kolejką linową w niezrównane tereny na Parsenn obok Davos, by tam, często w samym tylko kostjumie kąpielowym, rozkoszować się kilkunastokilometrowym zjazdem — pędzić w szaleńczym szusie wśród telemarków i christjanij ku dolinom i upajać się tym pędem, słońcem, powietrzem, górami i kwiatami — prawdziwie oszałamiającym cocktailem alpejskim.

A potem następuje zasłużony odpoczynek i lunch — często kąpiel słoneczna na płaskim dachu schroniska lub na łące, pokrytej krokusowym dywanem.

Ostatnie to już tygodnie rozkoszy alpejskiego przedwiośnia. Niezadługo nadejdzie już dzień pożegnania z firnem i deskami...

Zygmunt Borzęcki (Davos)

Na lewo: Na wiosnę dobrze wpierw zbadać trasę zjazdu przez lornetkę...



Na prawo: W gorących promieniach marcowego słońca można jeździć na nartach nawet w kostjumie kąpielowym...





Że Anglicy lubią komfort i dążą do uproszczenia życia o tem wiemy wszyscy! Wiemy też, że kochają bardzo zwierzęta: fotografują je, opisują, hodują, budują im cmentarze i zapisują im majątki. Ale nie wiem, czy wypływa to z ich dobrego serca; przypuszczałbym raczej, że jest to tylko dalszym ciągiem ich upodobania w upraszczaniu życia. Boją się poprostu narazić na wyrzuty sumienia. gdyby traktowali źle tych niemych, czasem tylko szczekających a w zimie szczękających zębami czworonogów — towarzyszy człowieka. Takie wyrzuty sumienia komplikują znów życie, więc pocóż się na to narażać?

Ostatnio otwarto w Londynie dziwaczny klub pod nazwą „Dog Bath Club", w którym różne panie i panowie, zajęci czasem własnymi interesami, zostawiają swoje pieski, oddając je pod opiekę urzędujących tam panienek. Nasze zdjęcia ukazują kilka takich faz upiększania czworonogów w tym „institut de beauté", a więc mycie, osuszanie, czesanie itd. — Co sądzą psy o tych zabiegach, niech powiedzą same:

„INSTYTUT PIĘKNOŚCI" DLA PSÓW



— To jest swoją drogą nieznośne, że moja pani każe mnie ciągle kąpać! Czuć mnie po takiej kąpieli szarem mydłem i koledzy moi „nabijają się" ze mnie, że jestem „maminym synkiem". Nic dziwnego, że tracę w ich oczach na znaczeniu i wszystkie porządniejsze psie budy są dla mnie zamknięte!



— To jest moja najmilsza chwila. Panienka osuszająca mnie tym dziwacznym przyrządem, który widuję zresztą w łazience u mojej pani jest wcale sympatyczna i zdaje się czuć dla mnie więcej nad zwykłą towarzyszką sympatję! Wkrótce wyjdę z jej rąk jak nieposzlakowany gentleman, budząc zawiść moich rywali!

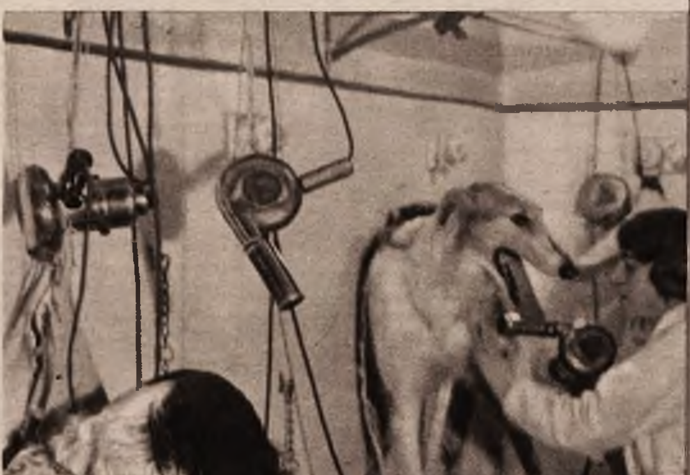
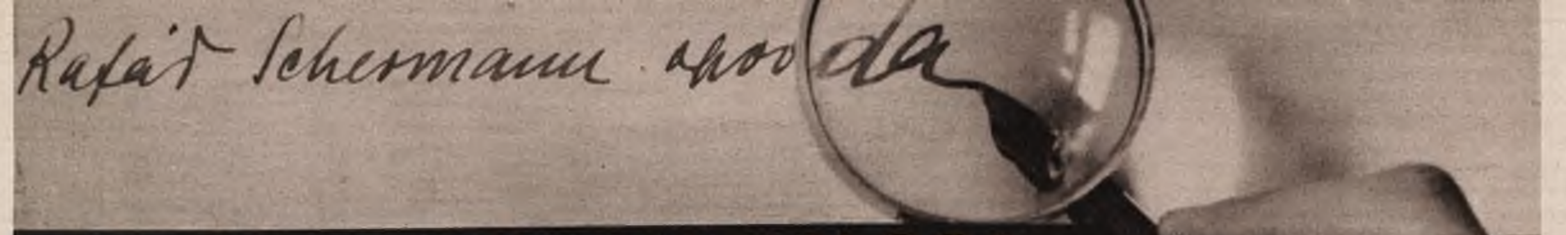


Chart do spaniela: — No, przynajmniej przeszliśmy już najgorsze. Teraz tylko nas wysuszą w prześcieradłach i po krzyku.
Spaniel do charta: — Mylisz się, mój drogi, bo zapomniałeś, że będą nas jeszcze czesać i wyrywać w barbarzyński sposób naszą cenną sierść!



— Widziałeś, Bobby, jak tego głupawego Pussiego wzięli w obroty? Ma minę, jakby nie wiem co mu się działo, ale nic mu się nie dziwię, bo mając taką długą sierść trudno ustać spokojnie podczas czesania. My przynajmniej, foxterriery ostrowłose, mamy w tym kierunku spokój i wogóle się z nami więcej liczą...



Z TEKI PSYCHOGRAFOLOGA

AUTORYZOWANE TŁUMACZENIE JANA MALESZEWSKIEGO



Każdy właściwie zastanowiwszy się nad znaczeniem psychografologji przyzna, że należałoby szukać u niej wyjaśnień przy wyborze zawodu, niestety jednak właśnie w tej dziedzinie nikt o tem nie myśli. Każdy dbający o przyszłość swych dzieci człowiek, musiałby właściwie, o ile posiadałby wątpliwości co do charakteru swego dziecka, zasięgnąć wskazówek psychografologicznych co do dyspozycji i zdolności swego potomstwa.

To cośmy powiedzieli mogłem konkretnie stwierdzić na pewnym wypadku, który wykazał, że wybór niewłaściwego zawodu może człowieka doprowadzić do ostatecznej rozpaczy. Synowi pewnego znanego lekarza radzono, aby poszedł w ślady ojca i również studjował medycynę. Studja przeszły jak najlepiej i młody człowiek miał właśnie, by zyskać tytuł doktora, zdać ostatni egzamin z anatomji, gdy wieczoru poprzedzającego egzamin znikł naraz pozostawiając matce czuły list pożegnalny.

Następnego dnia o wpół do ósmej rano odwiedziła mnie pewna holenderska dziennikarka, która była zaprzyjaźniona z rodziną zaginionego i przyniosła mi jedną stronę z jego notatek uniwersyteckich.

Na podstawie pisma stwierdziłem co następuje:

„Młody człowiek, o którego chodzi, stracił zupełnie radość życia, a powodem tego jest brak zainteresowania studjami. Osoba, o którą chodzi studjuje zapewne medycynę, chociaż z pewnym wstrętem i bez zainteresowania, natomiast całą uwagę poświęca on zagadnieniom techniki. Nie jest, wykluczone że pewnego dnia odbierze on sobie życie, pismo jednak wskazuje na to, że igra on tylko z tą myślą. Gdy się już zdecyduje na ten czyn zawiedzie w ostatniej minucie jego wola i planu nie przeprowadzi. Należy się z tem liczyć, że opuści on swój dom w stanie silnej depresji i będzie się błąkał wśród pól, lasów, szukając tam kryjówki. Najchętniej zakończyłby swe życie w takiem właśnie otoczeniu, naprzykład w lesie, nigdy w domu. Do rozstroju nerwowego przyczyniło się też zbyt intensywne uprawianie sportów".

Dopiero po sformułowaniu mego sądu oświadczyła mi dziennikarka, że młody człowiek naprawdę opuścił poprzedniego dnia dom, pozostawiając list adresowany do matki.

— Jeżeli pani pozwoli wezwę telefonicznie rodziców i zażądam listu zaginionego. Wkrótce też mogłem zaznajomić się z pismem młodego studenta, które w pełni potwierdziły moje poprzednie przypuszczenia.

Dalszy ciąg mej diagnozy brzmiał:

„Widzę z pisma, że ten młody człowiek długo nie wytrzyma w tej nowej życiowej sytuacji. Przebywając stale na świeżem powietrzu powoli ulotni się z jego głowy myśl prześladowcza, tak jak pijany trzeźwieje powoli. Postara się, aby się dowiedziano o jego miejscu pobytu, chociaż nie zdobędzie się na to, aby sam powrócić".

Następnego dnia zawiadomiono mnie, że się zaginiony student odnalazł. Jakiś chłop odkrył go w polu koło północy, w okolicy Paryża, zajął się nim i wziął go do swego domu. Następnego dnia opowiedział student swemu dobroczyńcy ostatnie przeżycia, przyznał się skąd pochodzi i co go spowodowało do ucieczki, podając równocześnie numer telefonu rodziców. Wkrótce potem chłop połączył się telefonicznie z ojcem uciekiniera i otrzymał polecenie, aby zamknął go w pokoju aż do chwili, kiedy ojciec przyśle po niego auto.

W kilka dni później, kiedy wszystko znowu wróciło do dawnego porządku, otrzymałem następujący list:

„Niedawno temu miałem zdawać ostatni egzamin z anatomji, dnia jednak poprzedniego pozostawiłem w domu list pożegnalny, gdyż nie cieszyło mnie już ani życie, ani nauka. Czuję się w obowiązku podziękować panu serdecznie za uspokojenie moich rodziców i wytłumaczenie im, że nie popełniłem samobójstwa i wkrótce wrócę do domu. Wszystko nastąpiło, jak pan to przewidział. Ma pan również rację, twierdząc, że nauka mnie nie cieszy, to też zamierzam poszukać sobie praktycznego zawodu. Jestem szczerze zadowolony, że pan podziela moje poglądy, to też wejdę na nową drogę życia pełen zapału i optymizmu".



Przysłowiona gadatliwość kobiet i zamiłowanie do opowiadania swoich osobistych przeżyć ma swe źródło w większej wrażliwości natury kobiecej i w głębszem przeżywaniu sercowych wzruszeń, niż to się zdarza u mężczyzn.

Na tem kończymy rozdział poświęcony znaczeniu psychografologji w życiu dzieci. Możnaby mnożyć te przykłady w nieskończoność ale nie o to chodzi; z tego cośmy powiedzieli wypływa aż nadto jasno, że dziecko już w swojem zaraniu życia posiada określone predyspozycje charakteru, które bardzo często zupełnie są nieznane rodzicom, często też przywdziewają maskę, pod którą trudno się ich domyślić. Gdy dodamy jeszcze, jak nieraz rodzice postępują naiwnie wobec swych dzieci, jak ciągle uważają je za nieorjentujące się w wielu sprawach, otrzymamy ogólny obraz niezbyt pocieszający. Tym promieniem „Roentgena", którym dałoby się prześwietlić charakter dziecka, jest właśnie psychografologja, tak rzadko zresztą dotychczas stosowana w podobnych wypadkach. Słowa te niechaj nie robią wrażenia mniej lub więcej ukrytej reklamy, ale poprostu wypływają one z tego, co stwierdziłem na setkach wypadków i co każdy nie uprzedzony człowiek musi mi przyznać.

MIŁOŚĆ I PSYCHOGRAFOLOGJA

Każda epoka wyciska zarówno na fizjonomji człowieka, jak też na jego piśmie swoje znamię. Przekonywujemy się o tem najlepiej, gdy przerzucamy karty albumów fotograficznych z przeszłego wieku i przeglądamy stare „sztambuchy"; znajdujemy tam dziwne sharmonizowanie wyglądu tych ludzi

ich pisma. Jedno i drugie tworzy konkretną całość charakteryzującą XIX wiek. Zwłaszcza jednak wygląd ówczesnych kobiet dziwnie odbiega od wyglądu dzisiejszego żeńskiego pokolenia: kobiety XIX wieku odznaczały się dziwną prostotą, którą możnaby czasem nazwać ograniczonością, lub nieśmiałością, gdy znów kobiety dzisiejsze zwracają na siebie uwagę swym odważnym, swobodnym, nieskrępowanym niczem typem. Również ich pismo potwierdza to pierwsze wrażenie, które odnosi każdy, co bliżej przyjrzy się tej sprawie. Oczywiście, że daleko więcej odcieni i finezji zauważy w piśmie tych kobiet grafolog zawodowy.

Jeżeli słynny dyplomata francuski Talleyrand powiedział, że słowa są na to, aby ukrywały myśl, to znów grafolodzy mogą śmiało powiedzieć, że najbardziej ukrytą myśl zdradzi pismo. Niema się nawet pojęcia, jak bardzo zdradliwem może być choćby jedno nakreślone zdanie, zwłaszcza gdy znajdzie się przed oczami wtajemniczonego.

A teraz postawmy sobie pytanie:

Czy my sami dla siebie jesteśmy również tajemnicą? Czy nie spoczywają w nas dobre i złe właściwości, popędy itd., które raz po raz wydobywają się z głębin naszej duszy na powierzchnię i dopominają się urzeczywistnienia? Najdrożsi nam, najbardziej zaufani ludzie przypominają przecież księgę zapieczętowaną siedmioma pieczęciami, lub fortecę, której zamkniętych bram nie moglibyśmy wysadzić nawet dynamitem.

Jeżeli mówiliśmy o kobietach i ich piśmie, to rzeczywiście nasuwa się w tej chwili myśl o miłości, która jest „rezerwatem" płci pięknej i w której mają one najwięcej do powiedzenia. Wśród moich doświadczeń psychografologicznych współzależność charakteru kobiety i psychografologji zaliczyć mogę do najciekawszych rozdziałów.

Przekonałem się po wielu latach na podstawie tych doświadczeń, że po większej części kobiety są nieszczęśliwsze od mężczyzn, gdyż są bardziej łatwowierne i łatwiej stają się ofiarami życia. Widziałem, jak nawet najmądrzejsze i najzdolniejsze z nich zawierzały zapewnieniom mężczyzny: w takich razach darowuje kobieta ukochanemu mężczyźnie całe swoje serce, gdy on tymczasem z chwilą, gdy się mu znudzi, odwraca się od niej plecami i całą znajomość traktuje li tylko jako drobny epizod, o którym nie warto mówić.

Jedynym krajem który, wyciągając odpowiednie konsekwencje z tego stanu rzeczy, starał się zapewnić kobiecie prawną opiekę, jest Ameryka i Anglja, gdzie uczynione kobiecie przyrzeczenie małżeństwa staje się prawną podstawą do odpowiedniej skargi, zmuszającej mężczyznę do małżeństwa. U nas, na kontynencie Europy, gdzie tego rodzaju ustawy nie istnieją, „odgrywa się" opuszczona przez mężczyznę kobieta w ten sposób, że dokonuje na niewiernym srogiej zemsty. Stąd też słyszymy tak często o wszelkiego rodzaju zamachach, dokonanych przez kobiety z wszystkich sfer socjalnych. Zdarza się też nieraz, że zawód taki powoduje u opuszczonej dziewczyny obłęd. To smutne położenie kobiety jest tembardziej godne pożałowania, że, jak stwierdziłem na setkach wypadków, kobiety są, ogólnie biorąc, bardziej czułe, bardziej skore do poświęceń i wierniejsze. Jeżeli kobieta przeobraża się w „wampa", albo, jak określano to chętnie w czasach, kiedy Zola pisał swoją „La bête humaine" — bestję, to spowodował to jeden lub kilku mężczyzn, nie leżało. to jednak w wrodzonych predyspozycjach danej kobiety.

* * *

Zaczniemy naszą serję doświadczeń psychografologicznych z tej dziedziny przytoczeniem wypadku pewnej zdradzonej kobiety, która zdecydowała się zastrzelić niewiernego.

Przed kilkoma laty poznałem u znanej wiedeńskiej autorki p. E. L. pannę Y. należącą do najlepszego towarzystwa. Już dnia następnego odwiedziła mnie ona, pokazując próbkę pisma, pochodzącego, jak mi powiedziała, od jej przyjaciółki, która z powodu choroby nie mogła również mnie odwiedzić.

— Niech pani weźmie poprostu taksówkę — rzekłem do panny Y. — i niech pani ją jak najprędzej przywiezie, gdyż widzę wyraźnie z pisma, że zamierza ona popełnić samobójstwo. Panna Y., słysząc moje słowa przyznała się wkrótce, że przedłożone mi pismo jest jej własnem, co zresztą wiedziałem od samego początku, poczem pokazała mi drugą próbkę pisma pewnego mężczyzny. Przyjrzawszy się drugiej kartce, oświadczyłem mojemu gościowi:

— Wkrótce otrzyma pani od tego mężczyzny list, którym panią zawiadomi, że, jak teraz dopiero zauważył, nie nadajecie się do siebie. Dodałem zaraz następnie na pocieszenie, aby nie przejmowała się temi słowami, gdyż wkrótce spotka człowieka bardziej wartościowego i jeszcze zazna szczęścia w życiu.

Pozornie słowa moje uspokoiły pannę Y. nie dowierzając jej jednak posłałem ją pod pewnym pretekstem do niedawno temu po znanej autorki. Gdy tylko opuściła mój dom zadzwoniłem do naszej wspólnej znajome, komunikując jej, że panna Y. nosi się z myślami samobójczemi, i prosząc ją równocześnie, aby się zajęła swą przyjaciółką. Autorka przyrzekła mi poczynić wszelkie możliwe wysiłki, aby uspokoić nieszczęsną ofiarę.

Po kilku tygodniach zjawił się rzeczywiście ów przezemnie zapowiedziany list od narzeczonego. Wzburzenie panny Y. było tak wielkie, że nie miała odwagi go sama otworzyć i przyniosła go do mnie. Gdy rozciąłem kopertę i wyjąłem z niej zapisaną kartkę okazało się, że treść jego zgadzała się dokładnie z tem, co przepowiedziałem kilka tygodni temu. Narzeczony prosił ją w liście aby znajomość z nim uważała za niebyłą i zapomniała go, temwięcej, że kilka miesięcy temu zaręczył się z inną kobietą, z którą wkrótce się ożeni. Nakoniec zaznaczył iż wojna oddaliła go od panny Y. z czego jest bardzo zadowolony.

Porozumiałem się z pewną długoletnią przyjaciółką panny Y., aby zaopiekowała się zupełnie złamaną psychicznie dziewczyną. Udało mi się wkońcu odwieźć kandydatkę na samobójczynię od jej przedsięwzięcia. Znów obudziła się w niej duma i energja które, nie pozwalając na pójście po linji najmniejszego oporu, zdecydowały ją porozumieć się z pewnym adwokatem celem postawienia wobec narzeczonego prawnych pretensyj.

Ostrzegałem moją klientkę, aby nigdy więcej nie spotykała się ze swym eksnarzeczonym, a również unikała przypadkowego zetknięcia się z nim, gdyż mogłoby to spowodować u niej nie tylko psychiczny, ale również fizyczny ból. Krótko potem umarł ojciec narzeczonego, który został zawezwany telegraficznie z frontu. Panna Y. spotkała go przypadkowo i zaprosiła do siebie. Po kwadransie jednak rozmowy doszło do takiej scysji, że narzeczony opuścił jej mieszkanie ze słowami: „Pocóż mnie znowu ciągnęłaś do siebie?". Następnego dnia wyczekiwała panna Y. przez kilka godzin przed hotelem narzeczonego, a gdy wyszedł na ulicę błagała go, aby ją raz jeszcze odwiedził. Nie chcąc powodować zbiegowiska ulicznego zastosował się do jej prośby. Po kilku minutach przebywania w mieszkaniu wyjęła panna Y. z szuflady rewolwer, w tejże samej jednak chwili zauważył to narzeczony i złapał ją za rękę, chcąc wyrwać jej broń. Przy szamotaniu się wykręcił jej rękę, którą zranił również trzymany rewolwer.

Gdyby klientka moja była usłuchała mojego ostrzeżenia, nie doszłoby do tego przykrego konfliktu, uprzedziłem ją przecież, że dozna bólu.

Dopiero po latach zetknąłem się znów z panną Y. Otrząsnąwszy się ze swojego bólu psychicznego, poznała w pewnej miejscowości kuracyjnej bogatego przemysłowca, za którego wyszła szczęśliwie zamąż. Oświadczyła mi wtedy, że wiadomość o rozbiciu się narzeczeństwa byłaby jej zadała cios śmiertelny, gdybym jej kilka tygodni przedtem nie był na to przygotował, co dało jej możność dojścia do pewnej równowagi.



Rafał Schermann odtwarza na podstawie pisma rysunek schorzałej stopy. *Fot. „As"*

SKRZYDLACI LOKATORZY POWRÓCILI!
Fot. A. Dobrski.



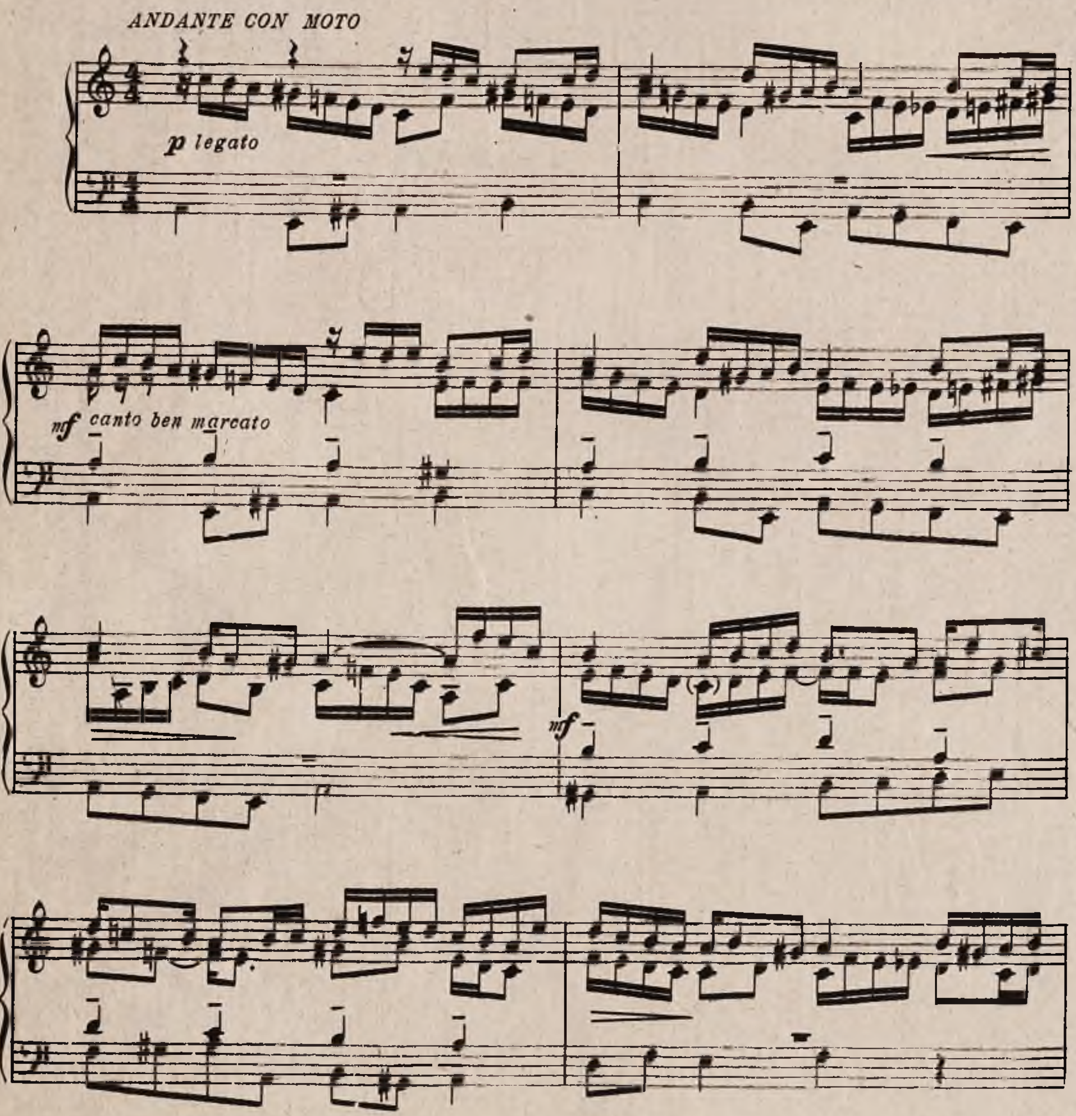
Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA":

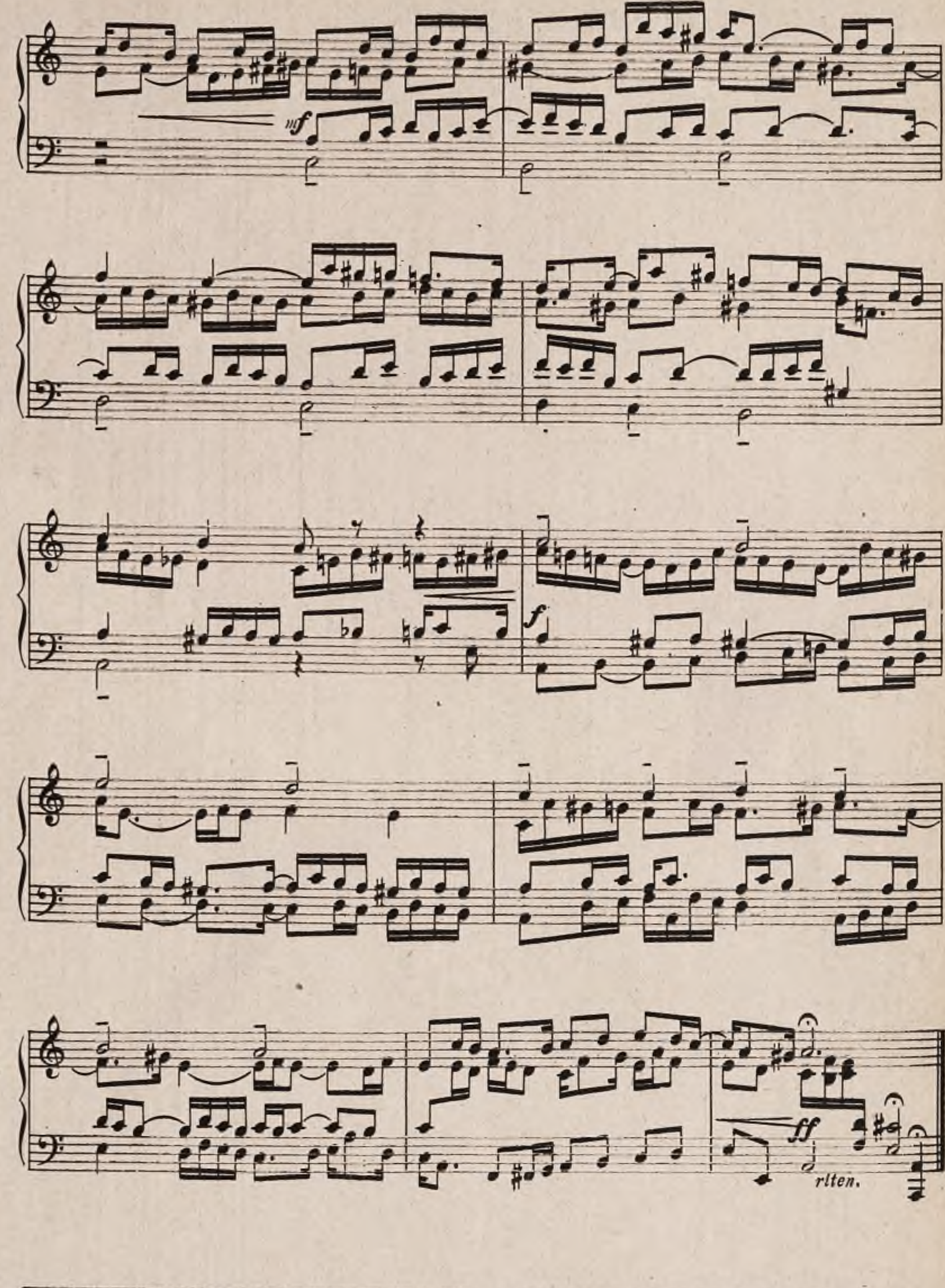
Jezu Chryste, Panie miły

PRELUDJUM CHORAŁOWE

★

Muzyka:
WŁODZIMIERZ POŹNIAK





POŻEGNALNA KOLACJA

TADEUSZ BILIŃSKI

SCENA Z ŻYCIA

OSOBY: ON, ONA.
GABINET RESTAURACYJNY.

(Z głównej sali restauracyjnej dochodzi muzyka jazzowa, która gra przyciszenie w ciągu całego dialogu).

ON *(do kelnera)*: A więc tak, jak już mówiłem — z chwilą kiedy pani wejdzie do gabinetu... pan zapuka. Gdybym pana później potrzebował, zadzwonię. *(Kelner odchodzi)*. Widzę, że wszystko już przygotowane. Stół gustownie zastawiony... Kwiaty... smaczne zimne przekąski, no i, co najważniejsze, szampan w lodzie. Trzeba przyznać, że tu w „Palacie" rozumieją się na tem, jak to należy przygotować *(pogwizduje)*. *(Bije godzina ósma)*. Ósma *(słychać pukanie)*. Otóż i ona! *(podbiega do drzwi i otwiera)*.

ON: Punktualność była zawsze wielką cnotą pani i — jak widzę — pozostała nią nadal. Proszę, niech pani wejdzie... Co to?!... *(okrzyk przerażenia)* Nina... to ty?!

ONA: Tak, to ja, twoja „rodzona" żona! *(pauza)* Cóż to nie pomożesz mi zdjąć płaszcza?! A gdzież uprzejmość dla pań?!

ON *(zdjąwszy jej płaszcz, z wahaniem)*: Czy... ty... zamierzasz tutaj zostać?!

ONA: Rozumie się... zresztą i tak stół nakryty na dwoje. Co widzę? Pyszne zimne przekąski! Aha, stąd to zapewne takie zimne przyjęcie! *(siada)* No... nie stój i usiądź koło mnie, może przecież zrobi ci się cieplej.

ON *(z westchnieniem nieśmiało)*: Zapewne i... ja tak sądzę.

ONA: Przedewszystkiem napiłabym się czegoś... proszę cię nalej mi.

ON *(nalewa szampana)*.

ONA: Uważaj, bo ręka ci drży... szkoda każdej kropelki... wszak to szampan... Co za roztrzutność. W domu pijesz wodę lub w najlepszym razie piwo, a tutaj... *(pije)*. Pyszny!... *(po chwili z ironją)* Zapewne oczekujesz tutaj jakiejś wybitnej osobistości... Niewątpliwie będzie to ktoś z ministerstwa... co... nieprawdaż?

ON *(poważnie)*: Nino... ty...

ONA *(przerywając)*: O... jeszcze nie... na to mamy czas. Wyznania nastąpią dopiero później... Najpierw przegryzłabym coś niecoś. Daj mi trochę tego łososia... wygląda wcale smacznie... Widzę, że zgromadziłeś tutaj wszystkie smakołyki sezonu... i to w takiej obfitości... Czy można prosić o bułeczkę i masło?

ON: Proszę...

ONA: Nalej mi jeszcze szampana...

ON *(nalewa)*: Proszę.

ONA: A ty nic nie zjesz? A może straciłeś apetyt?... W takim razie... nie byłoby to nazbyt pochlebne dla mnie. Nabierz sobie trochę kawioru na bułeczkę!... tego w domu nigdy niema. No, a teraz porozmawiajmy sobie trochę... Dziwisz się zapewne, skąd znalazłam się tutaj?!

ON *(niepewnie)*: No... tak... w każdym razie...

ONA: Niema w tem nic nadzwyczajnego. Poprostu znalazłam dzisiaj rano list pozostawiony — rzecz jasna — przez nieuwagę na twojem biurku.

ON: A.. list?! Czytałaś go?

ONA: Owszem... List ten sprawił mi nawet pewną przyjemność, przedewszystkiem dlatego, że dowiedziałam się, że nie muszę czekać na ciebie z kolacją, a następnie także i o tem, że masz się spotkać tutaj — no, powiedzmy sobie otwarcie — z pewną damą... Czyż nie tak?!

ON: Tak jest, w istocie...

ONA: No, to pięknie z twej strony, że nie usiłujesz nawet zaprzeczyć. Ta dama jest zapewne dawniejszą twoją przyjaciółką? Widzisz sam, że chcę ci ułatwić wyznania, a... zatem śmiało!

ON: Wszystko już sama wiesz i właściwie nie mam już nic więcej do powiedzenia... Pewna pani, z którą... łączyły mnie na długo przed naszym ślubem — bliższe stosunki, prosiła mnie o spotkanie... miałem jej mianowicie udzielić pewnej rady i o to właściwie prosiła w tym liście, a potem mieliśmy się raz na zawsze pożegnać ze sobą.

ONA: Aha... na zawsze... A więc miała to być niejako pożegnalna kolacyjka... czy tak?

ON: Tak... nie inaczej.

ONA: Tymczasem ułożyło się zupełnie inaczej, bo tę pożegnalną kolacyjkę zjesz... ze mną.

ON: Jak to rozumiesz?

ONA: Zaraz się dowiesz. Ale przedtem kilka pytań. Co zamierzasz uczynić, jeśli ta dama zjawi się tutaj?

ON: Skoro zapuka, wyjdę do niej i oświadczę, że przyjąć jej nie mogę.

ONA *(ironicznie)*: No... to bardzo ładnie z twej strony. Wobec tego możemy zupełnie swobodnie spędzić kilka chwil ze sobą, co jest bez znaczenia... nieprawdaż?

ON: Bezwarunkowo...

ONA: Czy ona nazywa się Jaga?... Przynajmniej podpisała się w ten sposób w liście.

ON: Tak... Tak się nazywa... tylko że to...

ONA: ...nie należy do rzeczy... chciałeś powiedzieć. Ale to tylko pytanie... na marginesie... Nie ulega wątpliwości, że spędzilibyście miło czas, gdyby... nie ja, co?!

ON: Jeżeli mam być szczerym, to nie żałuję zupełnie, że ta schadzka nie doszła do skutku...

ONA: No... no... no... tylko bez przesady... Obawiam się jednak, że w każdym razie przyjdzie mi trudno zastąpić ową damę, bo będąc od dwu miesięcy po ślubie, powiedzieliśmy sobie już wszystko, co mieliśmy sobie do powiedzenia. A ty niewątpliwie stęskniłeś się już za odmianą i lepszą rozrywką od tej, jaką ja mogłabym ci dać.

ON *(z powagą)*: Zdumiewa mnie wprost ta swoboda i spokój, z jakim to wszystko mówisz!

ONA: Co? Może mam ci urządzić scenę dramatyczną? Nie... Nie... mój drogi... tej przyjemności nie zrobię ci... Ale niemniej przeto łatwiej dojdziemy do porozumienia. Kiedy dzisiaj zrana znalazłam ów list, przyznaję się — podrażniło mnie to początkowo — ale... po zastanowieniu przyszła mi szczęśliwa myśl, a mianowicie, że powinniśmy się rozejść.

ON *(przerażony)*: Nino?!

ONA *(spokojnie)*: Tak... Czy może sądziłeś, że będzie inaczej? Chyba nie będziesz żądał ode mnie, abym pędziła nadal żywot przy boku męża, który nie może wyrzec się swych dawnych kawalerskich rozrywek... nawet po ślubie. A może uważasz, że powinnam się dzielić twą cenną osobą z innymi?!

ON: Wszystko to, co mówisz, jest poprostu rewelacją dla mnie... i to przykrą. Nie przypuszczałem nigdy, że potrafisz w ten sposób — powiedzmy — nawet dość cynicznie... ujmować te sprawy...

ONA: Możliwe... że tak... ale nie zapominaj kochanie o jednem, że dzisiejsze odkrycie dało mi większą pewność siebie i samodzielność, jakiej dotąd — przyznaję — nie miałam. Dotychczas wierzyłam ci — głupia — i ufałam bezwzględnie i mogłeś mną pokierować, jak tylko chciałeś... — bo my kobiety — mimo całej rzekomej emancypacji — lubimy być kierowane... *(po pauzie)* Przezwyciężywszy pierwszy ból, odnalazłam w sobie zpowrotem dumę i ambicję dotkniętej do żywego kobiety i ta duma dodała mi siły do powzięcia postanowienia.

ON: Nino... jesteś w błędzie... i od tego postanowienia musisz stanowczo odstąpić... Powiedziałem ci dopiero-co, że to miało być nasze ostatnie spotkanie i że tylko niejako pod presją zgodziłem się na nie. Przysięgam ci, że nie mam najmniejszego zainteresowania dla tej osoby i że nie spotykałbym się z nią już więcej.

ONA: I ty żądasz... abym w to uwierzyła?! Nie... stanowczo nie... Skoro mogłeś się tak dalece... powiedzmy łagodnie — zapomnieć, że za mojemi plecami kontynuowałeś ten stosunek — to jakżeż mogę mieć teraz zaufanie do twej wierności?... Dlatego też będzie o wiele lepiej... jeśli rozejdziemy się..

ON *(z rezygnacją)*: No... skoro taka twoja nieodwołalna wola, to poprostu muszę przypuścić, że... nie kochałaś mnie wogóle... nigdy.

ONA *(ironicznie)*: Za to ty mnie!... nieprawdaż?! Nie, mój drogi, porzućmy te bezpłodne akademickie rozważania. Decyzja moja, aby przyjść tutaj, kosztowała mnie niemało nerwów... nie przyszło mi to tak łatwo, jak ci się wydaje... Czyż nie narażałam się wobec ludzi, wobec kelnerów na podejrzenie, że jestem twoją drugą wzgardzoną kochanką?! Jedno, co podnosi mnie na duchu w tem poniżeniu, to ta świadomość, że ja tu stoję przed tobą, ja „prawowita" skrzywdzona małżonka, a nie naodwrót i że to ty jesteś tym, który ma nieczyste sumienie... *(po pauzie)* Przyszłam tutaj dlatego tylko, aby naradzić się z tobą, w jaki sposób przeprowadzić nasz rozwód.

ON *(spokojnie)*: Pięknie... jestem nawet ciekaw, jak to sobie wyobrażasz?

ONA: To całkiem proste. Mówiłam ci już, że zjemy tutaj naszą pożegnalną ostatnią kolacyjkę, potem ja wrócę do matki a następnie podejmiemy kroki rozwodowe...

ON: Kto to jest... my?!

ONA: No... ja i ty! Zanim tu przyszłam, byłam już u adwokata, aby zasięgnąć jego rady.

ON: I to już zdążyłaś załatwić?! no... no... proszę...

ONA: Rozumie się, że musiałam się przedtem dokładnie poinformować, jak to należy zrobić.

ON: No i co powiedział ci adwokat?

ONA: Najprostszą i najkrótszą drogą do uzyskania separacji byłoby jego zdaniem — wzajemne zgodne współdziałanie, t. j. wniesienie skargi o rozdział od stołu i łoża z powodu nieprzezwyciężonego wstrętu do siebie.

ON: Co?... jak?... obopólny wstręt?!... *(zanosi się od śmiechu)* Nie, to kapitalne... Wiesz, że... *(poważnie)* A jeśli ja się na to nie zgodzę?

ONA: Tego bynajmniej nie przewiduję... przeciwnie sądzę, iż będziesz zadowolony, mogąc się mnie tak łatwo pozbyć. *(podrażniona)*. No, a wówczas będziesz mógł bez przeszkody spotykać się...

ON *(przerywając — stanowczo)*: Mylisz się... kochanie... Ja nie zgodzę się na to, ponieważ nie odczuwam absolutnie żadnego „wstrętu" do ciebie.

ONA: Mniejsza z tem... w takim razie będziesz chyba na tyle uprzejmy, aby udawać wstręt. Uważam, że tego mogę przynajmniej od ciebie wymagać... Należy mi się choćby to zadośćuczynienie.

ON: Ale nie takie właśnie. Wprost przeciwnie, moim obowiązkiem będzie odwieść cię — za wszelką cenę — od tego nierozważnego kroku.

ONA: Jakiem prawem? Czy może wyobrażasz sobie, że przekonasz mnie jeszcze... Dla naszego obopólnego szczęścia będzie najlepiej, jeżeli rozstaniemy się. Dlatego też zdecyduj się szybko, czy będziesz mi pomocny...

ON: Ninuś... proszę cię, nie naglij... dziś absolutnie nie mogę i... nie chcę dać ci tutaj wiążącej odpowiedzi.

ONA: No... dobrze... *(podrażniona)* W każ-

Dokończenie na str. 26-tej.



GIMNASTYKĄ ZYSKUJEMY PIĘKNOŚĆ



Wyściskane w talji, przedwojenne męczennice gorsetu, nie są już dziś naszym ideałem.

1. Odciągając w tył zgięte w łokciu ramiona, wyrabiamy muskuły przypiersiowe.

2. Wyrzut wyprężonych rąk w tył, to ćwiczenie, które przeciwdziała tworzeniu się okrągłych pleców.

3. Wznoszenie ciała wyprostowanego na rękach jest najlepszem ćwiczeniem wszystkich mięśni.

Kiedy jak kiedy, ale w dwudziestym wieku najważniejszym elementem urody kobiecej jest piękna figura. Nic nie pomoże najładniejsza buzia czy piękne włosy, gdy nadmierna obfitość kształtów zanadto trąci — Rubensem. U nas w Polsce wiele kobiet zdaje się o tem zapominać. W kawiarniach i cukierniach widuje się korpulentne niewiasty, zajadające się ciastkami i to solidnemi: im więcej kremu i masła, tem lepiej. I dziwią się potem biedaczki, że waga ich wykazuje stałe tendencję zwyżkową, że trudno im wsiąść do „Simki" i że najdroższe, najpiękniejsze kreacje mody wyglądają na nich opłakanie.

Nie chodzi tu oczywiście o to, aby naśladować ekscentryczne „beauties" amerykańskiego filmu, głodujące latami i zdążające najkrótszą drogą do kompletnego wyczerpania i wycieńczenia organizmu. To co szkodzi zdrowiu, nie może służyć urodzie. To fakt, którego nie trzeba chyba udawadniać. Ale z drugiej strony negliżowanie swej figury, bezmyślne dopuszczanie do jej defiguracji przez nadmierną otyłość, to prawdziwa zbrodnia przeciw własnej młodości i piękności.

Aby do tego nie dopuścić, nie trzeba rujnować się na masaże (które bywają b. obosieczne!), parafinowe kąpiele czy skomplikowane a często szkodliwe pigułki czy herbatki odchudzające. Wystarczy powściągliwość w jedzeniu i trochę planowej kultury fizycznej.

Na to, aby odżywiać się w sposób nie sprzyjający tyciu, nie trzeba wcale się głodzić. Wystarczy unikać ciężkich sosów, zawiesistych zup, tłustych mięs i nadmiaru słodyczy. Wędzonkę z grochem zastąpić można bez obawy śmierci głodowej jakiemś soczystem „rôti" z odrobiną sałaty czy jarzyn, stosy ptifurów i „pajdy" tortów świeżymi owocami, galaretką lub lekkim kremem. W zupie,



1



2



3

4. Mieśnie biodrowe ćwiczymy, przeginając ciało ruchem wahadłowym w obydwie strony...

na to aby była dostatecznie pożywna, nie musi stawać łyżka, a smaczne „toasty" czy suchy chleb szwedzki równie dobrze zaspakajają apetyt, jak ciężkie baby drożdżowe czy świeży, kleisty chleb.

Ale nawet przy nieudużej wadze i stosunkowo szczupłej figurze, można wyglądać ciężko i niezgrabnie, o ile ciało nasze nie jest utrzymywane w należytej elastyczności i sprawności mięśni. Jeśli na uprawianie sportów nie



Tak oto wyglądał „in illo tempore" problem gorsetu.

pozwala nam zdrowie lub warunki naszego życia, możemy zastąpić je znakomicie każdemu dostępną i nie męczącą gimnastyką domową. Na to jednak aby była skuteczna, trzeba ją uprawiać codziennie, przeznaczając na nią bodaj dziesięć minut rano, po wstaniu z łóżka a przed kąpielą. Gimnastyka taka powinna składać się z kilku ruchów, tak dobranych, aby kolejno wprawiały w ruch wszystkie mięśnie i pobudzały krążenie krwi w całym organiźmie. Ćwiczenia te potęgują sprawność naszych członków, zachowują giętkość ciała, utrudniają gromadzenie się tłuszczu, a przytem, co dla kobiet powinno mieć bodaj największe znaczenie — wyrabiają zręczność ruchów, nadają im sprężystość i naturalną „grację".

„Gracja"... to słowo zupełnie wyszło z mody, a przecież pojęcie które niem określamy, nigdy nie straciło swego znaczenia. Tak łatwo byłoby je zmodernizować! Niekoniecznie ma ono oznaczać jakąś nienaturalną pozę i sztuczne minoderje. Zapewne nie znalazłyby w naszej epoce uznania „gracje" rokokowych dam, które latami ćwiczono w ukłonach i reweransach, w dygach i wdzięcznych minkach. Ale piękna postawa, harmonijne ruchy, elastyczny chód i estetyczne proporcje ciała, zawsze są i będą największą ozdobą kobiety.

Cała obecna moda od paru lat nastawiona jest wyłącznie niemal na linję. Nowoczesne suknie trzeba umieć nosić, a przytem nie dają one nigdy należytego efektu na nieproporcjonalnej, niezgrabnej figurze. Większość ich wymaga noszenia specjalnych pasów, mających na celu wyrównywanie wszelkich niedociągnięć i modelujących pięknie linję stanu i bioder. Oczywiście nie przypominają one niczem narzędzi tortur, jakiemi

Dokończenie na str. 31-ej.

5. Jeśli potrafimy dotknąć stóp bez zginania nóg w kolanie, będzie to dowodem naszej giętkości w pasie.





Dokończenie ze str. 23-ej.
dym razie jest to już coś w rodzaju twej zgody, a to już wiele znaczy. Mój Boże... rozumiem cię w zupełności, że wolisz zachować pewną powściągliwość i nie chcesz okazać, że godzisz się z radością na moją propozycję, która niewątpliwie przychodzi ci w samą porę. Chodzi więc teraz tylko wyłącznie o sposób, w jaki to przeprowadzimy.

ON: Nino... czy pomyślałaś o tem, co świat na to powie, a przedewszystkiem twoja rodzina?

ONA: Ależ kochanie... powód do separacji chyba aż nadto wystarczający i wszystkich przekonywujący... wzajemny obopólny wstręt...

ON: No i sądzisz, że uwierzą w ten powód?

ONA: Dlaczegoby nie?! A... może... uważasz siebie za taką doskonałość, że prawdziwy wstręt do ciebie jest rzeczą wprost niemożliwą do pomyślenia?

ON: Tego wcale nie twierdzę. Chciałbym jeno zwrócić ci uwagę na to, jak wszyscy nasi znajomi i krewni przypuszczają — zresztą całkiem słusznie — że pobraliśmy się z miłości.

ONA: To już moja rzecz... aby rozgłosić wszędzie, gdzie potrzeba, że okazałeś w pożyciu małżeńskiem takie właściwości, które uniemożliwiły dalsze współżycie.

ON: To bardzo uprzejmie z twej strony.

ONA: Chyba nie będziesz wymagał, żebym winę wzięła na siebie?!

ON: Stanowczo nie.

ONA: No, to ładnie... Nalej mi jeszcze kieliszek... lubię bardzo szampana, zwłaszcza dziś, bo ułatwia mi on sprawę.

ON: A może trąciłabyś się ze mną kieliszkiem?!

ONA: Z miłą chęcią. *(trąca się kieliszkiem)* Hm... hm... i to już ostatni raz. *(po pauzie)* Nie uwierzysz nawet, ile to kosztowało mnie nerwów... ale teraz już mi o wiele lżej... już przeszło. Nigdy nie miałam ochoty upić się, ale dzisiaj chcę pić, oszołomić się...

ON *(z zachwytem)*: O, jakżeż bosko oczy twoje płoną! O, jakżeż piękna jesteś w tem uniesieniu! Nigdy takiej jeszcze ciebie nie widziałem.

(Słychać mocne pukanie).

ONA: Oczywiście... Cóż to... nie wychodzisz do niej?!

ON: Owszem... i dlatego przeproszę cię na chwilę *(idzie do drzwi, otwiera i zamyka — po chwili wraca).*

ON: Kelner wręczył mi ten list. Pozwolisz, że otworzę go... *(czyta).*

ONA: Cóż to?! Cieszysz się?

ON: Tak jest... *(z radością)* ona nie przyjdzie!!!

ONA: I dlatego jesteś taki rozradowany?! Cóż takiego pisze?... A właściwie nie masz zupełnie obowiązku zapoznawać mię z treścią tego listu.

ON: Przeciwnie... Przeczytam ci go bardzo chętnie. *(czyta)* „Łaskawy Panie. Przepraszam, że nie mogę niestety spotkać się z panem, ponieważ właśnie przed chwilą przyjechał swym wozem dyrektor Molski i proponuje mi przejażdżkę do Zakopanego. Ponieważ trudno byłoby mi znaleźć jakąś podstawę do odmowy... proszę o przebaczenie za zawód i zastrzegam sobie spotkanie w najbliższym czasie.

ONA *(ironizując)*: A więc poprostu jakiś rywal pozwolił sobie zdystansować mojego pana ex-małżonka... ha, ha *(śmieje się).*

ON *(wesoło)*: Widzisz sama, jak bardzo jestem z tego powodu zmartwiony...

ONA *(współczująco)*: No i cały ten wielki aparat przygotowawczy na nic... wspaniale zastawiony stół — kwiaty — szampan... i pierwszorzędne przystawki... Nie szkoda tego wszystkiego?!

ON: Proszę cię, Ninuś — nie drwij!

ONA: A co? Może mam cię żałować?!... Przyznaję, że sytuacja jest dość tragi-komiczna dla ciebie...

ON: No, chyba już teraz uwierzysz, że jestem o wiele niewinniejszy, aniżeli sama przypuszczałaś.







ONA *(z udaną powagą)*: Tak... niewątpliwie. Nic mi zatem nie pozostaje innego, jak tylko pocieszyć cię — o ile naturalnie... potrafię. Inna rzecz, że z nią zabawa byłaby o wiele przyjemniejsza, ale — wobec tego, że jakiś dyrektor wlazł ci w kabałę... musisz, — chcąc nie chcąc poprzestać na mojem towarzystwie. A czy... znasz przynajmniej tego dyrektora Molskiego?

ON: Osobiście nie... wiem tylko tyle, że jest to dyrektor jakiejś fabryki.

ONA: Musi to być prawdopodobnie jakiś dżentelmen... bardzo przystojny... jeżeli przeniosła jego nad ciebie...

ON: Albo też ma pieniędzy jak lodu — co zresztą nie ulega wątpliwości, jeżeli ma swoje auto.

ONA: Wnioskuję z tego przyjęcia, jakie przygotowałeś dla niej, że owa dama musi mieć wielki i drogi apetyt... Bo nie wątpię, że po tych zimnych przekąskach miały nastąpić ciepłe dania. Czy nie tak?!

ON: Bezwątpienia... I... o ile życzysz sobie?

ONA: Nie... ja będę o wiele tańsza... Zjadłam tylko jedną kanapkę i już mam dosyć... Powiedz mi... Tadku... a może to nie dyskretnie, w jaki sposób rozmawialibyście ze sobą... A może takie damy mało mówią, a zato dużo jedzą?!

ON: A... może dalibyśmy spokój już tematowi?!

ONA: Dlaczego? Jeśli mam zastąpić — do pewnego stopnia — niedoszłą partnerkę miłej kolacyjki, muszę wiedzieć przynajmniej, od czego mam zacząć, aby cię rozruszać... Czy ona jest może muzykalna?... bo widzę tu w gabinecie pianino.

ON: Tak, gra i śpiewa trochę.

ONA: Trochę... I ja to też potrafię... A może ci co zaśpiewać?

ON: Brawo... wiem przecież, że masz bardzo miły głosik...

ONA: A co ci zaśpiewać? Stop... już wiem... Musi to być coś pikantnego... nieprawdaż?

ON: Uważam, że twój głos nadaje się raczej do pieśni lirycznych.

ONA: Czekaj... mam już...!

(śpiewa piosenkę francuską)

ON *(klaska)*: Wspaniale, bosko! Nie wiedziałem, że masz taki przemiły głos... gdzie się tego nauczyłaś?

ONA: Jeszcze na pensji...

ON: Tak?!... Za tę piosenkę muszę cię pocałować.

ONA: Co to, to nie! Opanuj się... proszę.

ON: Tak... teraz przypominam sobie dobrze, że pierwszy raz słyszałem cię, śpiewającą u Kaziów, a potem... prawda... jeszcze raz to było na Hali Gąsienicowej, kiedy siedzieliśmy przytuleni do siebie przed schroniskiem, wpatrując się w gwiazdy... pamiętasz?

ONA: Takich rzeczy nie zapomina się...

ON *(czule)*: Ninuś... nie chcę usprawiedliwiać się... chciałbym tylko wyjaśnić ci pewne rzeczy i zdać sprawę z tego, co dzisiaj przeżyłem. Kiedy otrzymałem pierwszy list od tej kobiety — przyznaję się otwarcie, że pochlebiło mi to nieco, że nie zapomniano o mnie, chociaż wycofałem się z dawnego mego światka. A kiedy po raz drugi zwróciła się do mnie z prośbą, abym poradził jej w pewnej sprawie i w tym celu wyznaczyła mi tu schadzkę — zgodziłem się na to, ponieważ nie widziałem w tem nic zdrożnego, a tem mniej nie uważałem tego za zdradę małżeńską, jeżeli spotkam się z dawną mą przyjaciółką i to w jej sprawie i na jej wyraźne żądanie... poprostu skusiło mnie, aby zobaczyć ją raz jeszcze.

ONA: Dość niebezpieczna pokusa.

ON: Ale i na tej pokusie byłoby się skończyło... wierzaj mi... *(z zapałem)* poznałaś mnie chyba już na tyle, aby wiedzieć, że nie potrafiłbym coś ukrywać przed tobą, bo byłoby to tchórzostwem i nie „fair"... bez względu na konsekwencje. Oto wszystko... A teraz decyzja należy do ciebie. Jeśli chcesz... możesz się rozwieźć ze mną. Nie chcę ci stać na przeszkodzie, choćby mi i serce miało pęknąć. Jeśli tak chcesz... całą winę wezmę na siebie...

ONA: To ładnie z twojej strony!

ON: Ale zanim rozejdziemy się, chcę ci powiedzieć jeszcze jedno na pożegnanie. Kochałem cię prawdziwie, starając się o ciebie — podobnie jak i teraz kocham cię nad życie, każdym nerwem, każdą myślą i każdem pragnieniem. Czy wierzysz mi?!

ONA *(słabo)*: Nie... nie mogę... nie wolno mi już uwierzyć.

ON: Musisz mi nareszcie uwierzyć... nawet gdybyś miała odejść dzisiaj ode mnie — musisz wyjść stąd z tem przekonaniem, że jesteś dla mnie najpiękniejszą, najdroższą i najlepszą i że będę zazdrościł temu niewypowiedzianie, kto zdobędzie twą miłość... *(pauza)* Czy nie masz mi już nic do powiedzenia?! *(pauza).*

ONA *(ociągając się)*: Widzisz... dzisiaj miałam jako twoja żona — dwie drogi przed sobą, jedna: to wyrzeczenie się ciebie i zapomnienie, a druga... to przyjście tutaj *(z westchnieniem)* ...i zdobycie ciebie z powrotem.

ON *(z radością)*: Uczyniłaś więc to drugie... ponieważ mnie kochasz?...

ONA: A gdyby tak nawet było?!...

ON: Wówczas... wówczas rzuciłbym ci się do nóg — tak, jak to teraz czynię i błagałbym cię o przebaczenie. Nino, czy możesz mi przebaczyć?!

ONA: Wstań... cóż ja poradzę, że jestem taka głupia i że chcę ci uwierzyć?! — bo... bo... poprostu kocham cię...

ON *(z zapałem)*: Naprawdę... kochasz mnie?!

ONA: Niestety tak... i na to już nic nie pomoże...

ON: Najdroższa moja!!

Życie artystyczne

PARYŻ Z CZASÓW NAPOLEONA III. NA SCENIE „CASINO DE PARIS"



„Casino de Paris" wystawia obecnie wspaniałą rewję, w której biorą udział „gwiazdy" wielkiego formatu. Wśród nich występuje Maurice Chevalier w obrazie „Parada miłości" i nowy gwiazdor Reda Caire w obrazie „Rue de Rivoli" (powyżej) z czasów Napoleona III.

NA KASPROWYM

Kasprowy ściąga na swój szczyt wiele gwiazd polskiej sceny i high-life'u. Oto widzimy na zdjęciu znaną artystkę teatrów warszawskich, Kazimierę Skalską, (w ciemnych okularach) i wybitną sportsmenkę Eugenję Skępską z Warszawy (na prawo), zażywające błogiego „dolce far niente" w promieniach marcowego słońca.



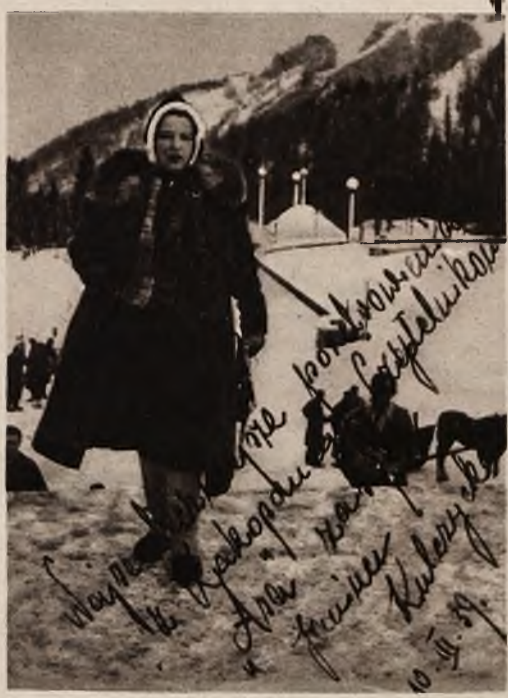
40-LECIE PRACY ARTYSTYCZNEJ



Michał Czepita, znany artysta-malarz, urządził w Warszawie w salonie Burof-Strzeszewskiej zbiorową wystawę swoich dzieł, wśród których odznaczają się swym artystycznym wyrazem liczne portrety osób z towarzyskiego świata stolicy. Michał Czepita będąc wychowankiem krakowskiej Akademji Sztuk Pięknych przebywa od lat w Warszawie, gdzie rozwija ożywioną działalność artystyczną. — Na zdjęciu portret artysty.

WYWCZASY PRIMADONNY

Jedna z najulubieńszych gwiazd naszej operetki, Janina Kulczycka, bawi na wywczasach w Zakopanem, gdzie z zapałem oddaje się sportom zimowym, nabierając nowych sił do występów, które wkrótce czekają artystkę. Primadonna umieściła na fotografji pozdrowienia, przeznaczone dla Czytelników „Asa".





Drogi Pamiętniku - rozstaję się z nim...
BARDZO LUBIĘ EDZIA, MAMO, ALE WIESZ, ŻE NIE MOGĘ GO DŁUŻEJ WIDYWAĆ! JEGO NIEMIŁY ODDECH ODSTRĘCZA MNIE.
TAK, WIEM O TYM — I UWAŻAM, ŻE EDZIO JEST NIEDBAŁY, JADZIU. POROZMAWIAM Z NIM JUTRO W TEJ SPRAWIE.
NASTĘPNEGO WIECZORU.
WIEM, ŻE JADZIA PANA LUBI, EDZIU, JEST PAN MIŁYM CHŁOPCEM I CHCĘ PORADZIĆ PANU. POWINIEN PAN PÓJŚĆ DO DENTYSTY W SPRAWIE NIEMIŁEGO ODDECHU.
O BARDZO PANI DZIĘKUJĘ, ZROBIĘ TO! TERAZ WIEM, DLACZEGO JADZIA NIE CHCIAŁA MNIE WIDYWAĆ.
BADANIA WYKAZUJĄ, ŻE 76% LUDZI W WIEKU POWYŻEJ 17 LAT MA NIEMIŁY ODDECH. STWIERDZONO RÓWNIEŻ NA PODSTAWIE BADAŃ, ŻE NAJCZĘŚCIEJ NIEMIŁY ODDECH POCHODZI Z NIEODPOWIEDNIO CZYSZCZONYCH ZĘBÓW, CELEM USUNIĘCIA CZĄSTECZEK POŻYWIENIA ZE SZCZELIN MIEDZY ZEBAMI. POWINIEN PAN UŻYWAĆ PASTY DO ZEBÓW COLGATE, KTÓRA CZYŚCI DOKŁADNIE I SKUTECZNIE. PASTA DO ZĘBÓW COLGATE ZWALCZA NIEMIŁY ODDECH.
Specjalna, przenikająca piana Pasty Colgate dociera do najmniejszych, ukrytych szczelin między zębami... usuwając rozkładające się resztki pożywienia wywołujące najczęściej niemiły oddech, brzydkie, matowe zęby oraz ich próchnicę. Jednocześnie delikatny, bezpiecznie polerujący składnik Pasty Colgate czyści emalię, nadając zębom połysk.
PÓŹNIEJ DZIĘKI PAŚCIE COLGATE.
DOPRAWDY, EDZIU, JEŚLI DOSTANIEMY JESZCZE WIĘCEJ PREZENTÓW ŚLUBNYCH, BĘDĘ MUSIAŁA KUPIĆ NOWY PAMIĘTNIK, ABY JE WSZYSTKIE ZAPISAĆ.
ŻADNA PASTA DOTYCHCZAS NIE UCZYNIŁA ZĘBÓW MOICH TAK LŚNIĄCO CZYSTYMI, JAK COLGATE.
PASTA DO ZĘBÓW COLGATE
PASTA DO ZĘBÓW COLGATE
Dzieci uwielbiają doskonały smak pasty Colgate. Bez trudu można więc je skłonić do czyszczenia zębów, gdyż pasta Colgate uprzyjemnia tę czynność.
TERAZ MA MIŁY ODDECH I CZARUJE UŚMIECHEM



Od lewej: Szeroka spódniczka, ozdobiona t. zw. szczypankami i żakiecik z wełny w jaśniejszą kratę. — Oto najmodniejszy kostjum wiosenny, składający się z fałdowanej spódniczki i krótkiego żakiecika wzorowanego na bolero. Nieco ekscentryczny model kostjumu wiosennego: spódniczka silnie kloszowa, w szeroką kratę i krótki obcisły żakiecik z krytem zapięciem.

JAKIE KOSTJUMY BĘDZIEMY NOSIĆ W TYM ROKU...

Dla kobiet, mieszkających w mieście, najważniejszy punkt wiosennego programu tualetowego — to kostjum. Jest to strój niczem niezastąpiony, praktyczny i o wszechstronnem zastosowaniu: z wełnianym pull-overkiem lub zamszową kamizelką można go nosić już od wczesnej wiosny, na cieplejsze dni wystarczy bluzka jedwabna, przedpołudniem nosimy go ze sportową bluzeczką, popołudniu zmieniamy jego charakter, dodając mu strojną bluzkę lingerie lub drapowaną czy przymarszczaną z miękkiego jedwabiu pastelowej barwy. Niezbędny jest nam również kostjum do podróży, na wycieczki samochodowe i week-endy. Jeżeli jest ładny i dobrze zrobiony, zawsze wygląda się w nim elegancko i „correct", zarówno na porannym „footingu", jak i w kawiarni, restauracji czy na wizycie. Toteż informując nasze Czytelniczki o wiosennej modzie 1939, pierwszy artykulik poświęcamy kostjumom.

Cały problem polega na rozstrzygnięciu dylematu: krótki czy długi? Angielski czy francuski?

Na pierwsze pytanie odpowiedź brzmi stanowczo: krótki. A więc żakiet krótki, sięgający linji bioder, albo jeszcze krótszy, kończący się w pasie jak spencerki Etończyków, a nawet jeszcze wyżej, tuż pod linją biustu jak hiszpańskie bolero. Żakiety dłuższe, trzyćwierciowe należą do wyjątków. Spódnica kostjumowa również skróciła się znacznie, w porównaniu z zeszłym rokiem: nosi się ją najwyżej na 35 cm. od ziemi — a wiele kobiet skraca ją nawet do 45 cm. Nie polecamy jdnak naśladować ich, gdyż zbyt krótka spódnica skraca figurę, nieładnie przecina linję nóg, a przy obfitszych nieco kształtach wygląda wręcz karykaturalnie. Pozostańmy więc przy 35—38 centim. od ziemi.

Ale jeśli chodzi o spódnice, to najważniejszą zmianę konstatujemy nietyle w ich długości, ile w szerokości. Dotychczasową „tutkę", conajwyżej rozszerzoną jednym krytym fałdem, zastąpią spódnice szerokie i fruwające, fałdowane, plisowane, cięte z poszerzających się ku dołowi brytów, silnie kloszowe, a często fałdowane i kloszowe zarazem. Dość powiedzieć, że obwód ich dołem dochodzi do 3 m! Ale zwolenniczki prostszej linji nie muszą się tego niewolniczo trzymać: mogą poprzestać na paru krytych fałdach, nadających spódnicy pewne poszerzenie jedynie w ruchu, przy chodzeniu. To także jest modne, a przy kostjumach o charakterze sportowym, angielskim, napewno stosowniejsze.

I tu dochodzimy do drugiego pytania: kostjum angielski czy francuski? Otóż niewątpliwie tegoroczna moda stanowczo faworyzuje typ drugi. Klasyczny angielski „tail-

Dokończenie na str. 31-ej.



Wiosenny kostjum w dwóch tonach ze spódniczką drobno plisowaną z przodu.

PRZEPISY
odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3—4 osoby.

JAJA Z PIECZARKAMI NA MUSZELKACH. Przystawkę tę sporządzić można również z grzybów suszonych, których na osiem jaj należy wziąć 6—7 dkg. Grzyby gotuje się w małej ilości wody. Biorąc pieczarki (10—15 dkg) kraje się je drobno i dusi na łyżce masła z drobno pokrajaną cebulką. Ugotowane suszone grzyby, wyjmuje się ze smaku, w którym się gotowały i przemiela w młynku lub sieka dokładnie. Jaja ugotowane na twardo przekrawa się wzdłuż, wyjmuje żółtka, które się uciera z łyżką deserowego masła, troszką soli i połową usiekanych grzybów wzgl. uduszonych pieczarek, masą tą napełnia się pozostałe białka. Resztę grzybków podprawia się łyżką zasmażki rozrobionej z szklanką gęstej śmietany, zagotowuje i polewa jaja ułożone na muszelkach po 2—3 połówek. Następnie posypuje się każdą muszelkę parmezanem lub bułeczką, kropi masłem i wstawia na 5 minut do piecyka, aby się zapiekły.

SZPINAK Z JAJAMI ZAPIEKANY. Pół kg młodego szpinaku, po przebraniu i kilkakrotnem wypłókaniu, rzuca się na wrzącą osoloną wodę i gotuje bez przykrycia przez 6 minut. Scedzony z wody, wyciśnięty lekko i posiekany oraz skontrolowany czy będzie dość słony, układa się równą warstwą na ogniotrwałym półmisku, okłada jajami pochée (w koszulkach) w odpowiedniej ilości i pokrywa gęstym beszamelem sporządzonym z jasnej zasmażki zalanej 1/4 litrem śmietanki z dodatkiem szczypty soli i pieprzu. Beszamel należy zagotować, a kiedy dobrze zgęstnieje, pokrywa się nim jaja na szpinaku, posypuje suto parmezanem i wstawia na 10 minut do gorącego piecyka. Fritki lub smażone ziemniaczki podaje się osobno. Również grzanki z bułki stosowne są do tej potrawy.

PULPETY Z MIĘSA DO ROSOŁU. Kawałek mięsa cielęcego wraz z tłuszczem od nerki przemiela się wraz z kawałkiem bułki, dodawszy jajo, troszkę soli i pieprzu uciera się farsz przez chwilę, następnie urabia się z niego małe bułki, które się rzuca na wrzący rosół i gotuje przez 10 minut.

JAGNIĘ PIECZONE. Oczyszczone i wymyte należycie jagnię obsusza się ściereczką, szpikuje młodą słoninką, soli i kropi sokiem cytrynowym. Odleżałe przez parę godzin piecze się na rożnie lub brytwance przy częstem polewaniu jak każdą pieczeń. Chcąc pieczeń uczynić wydatniejszą, można jagnię nadziać mieloną cielęciną zmięszaną z krajaną wątróbką cielęcą lub z drobiu z dodatkiem jaj i rozmoczonej w mleku bułki. Po upieczeniu i częściowem ostudzeniu, kraje się jagnię w porcje i zestawia z powrotem w całość na półmisku, przybiera pasztecikami, zielenią i zeskrobanym na wiórka chrzanem.

SZYNKA jest centralną potrawą mięsną na stole wielkanocnym. Każda z pań domu wysila się, aby ją jak najgustowniej przybrać. Oto jeden ze sposobów: z czerstwego chleba wycina się podstawę wielkości i kształtu szynki, podstawę tę kładzie się na dużym półmisku, na niej zaś ciepłą szynkę pokrajaną w plastry i zestawioną ponownie w całość. Brzegi podstawy chlebowej zasłania się wykrawanemi i osmażonemi ziemniaczkami, drobnemi parówkami (specjalny rodzaj), gęsto uduszoną kapustą wyrzuconą z foremek (nakłada się do małej okrągłej filiżanki i ostrożnie odwraca nad półmiskiem). Reszty przybrania dopełni sałata, endywia i inna zieleń.

SOS CHRZANOWO JAJECZNY DO ZIMNEJ SZYNKI. Z kilku twardych jaj wyjmuje się żółtka, uciera je z solą i octem lub sokiem cytrynowym, dodaje szczyptę cukru oraz drobno posiekane białka, wkońcu kilka łyżek tartego chrzanu, który należy przedtem sparzyć wrzącą wodą i odcedzić.

TORT SEROWY. 1 kg dobrze odciśniętego twarogu wykłada się na deskę i wałkuje go wałkiem od ciasta aż będzie gładki jak masło. Osobno uciera się 35 dkg masła z 8 żółtkami i 50 dkg miałkiego cukru z wanilją, dodaje przygotowany ser, 4 łyżki grysiku, i po 5 dkg: rodzynek, krajanych skórek pomarańczowych i parzonych posiekanych migdałów, w tem parę sztuk gorzkich (te ostatnie muszą być osobno miałko utłuczone). Wkończu dodaje się pianę z 4 białek. Tortownicę należy bardzo starannie natrzeć masłem i wysypać mąką; piecze się w średnio nagrzanym piecu, przez trzy kwadranse.

TORT „DUŻY MURZYNEK". 8 ~~dkg~~ żółtek uciera się z 28 dkg cukru przez 20 minut, poczem dodaje się po łyżce: tęgą pianę z 8 białek i 20 dkg mąki. Z ciasta tego wypieka się w dwóch okrągłych formach dwie półkule. Po upieczeniu i zupełnem ostudzeniu, wydrąża się obie półkule i napełnia jedną z nich lekko osłodzoną bitą śmietaną, tak, aby się utworzył duży czub, na który nakłada się drugą połowę, która otrzymuje grubą polewę czekoladową. Na polewę tę gotuje się gęsty syrop z 10 dkg cukru, 10 dkg czekolady waniljowej ogrzewa się celem zmiękczenia, rozciera ją z łyżeczką deserowego masła i dolewa po trosze ugotowany syrop, przy ustawicznem mięszaniu i ucieraniu masy. Gorącą polewą, która natychmiast zastyga, oblewa się górną część tortu, nie dotykając nożem, aby nie straciła połysku.

Sc. Ko.



PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI DLA PAŃ DOMU

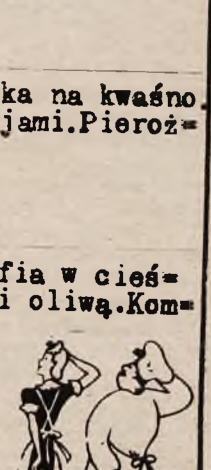
Łańcuszki od zegarków, srebrne popielniczki i inne przedmioty tego rodzaju czyści się popiołem z papierosów lub cygar, używając do tego suchą, miekką szmatkę. Po oczyszczeniu nabędą one pięknego połysku, który w tym wypadku jest pożądany.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 14 — **Kwiecień** — Dni 30
Niedziela **2** Franciszka z P.	Rosół z lanem ciastem. Omlety z mięsnem hachée. Kura z rosołu z kompotem. Biszkopt z kremem kawowym. Kolacja: Cielęcina w majonezie.
Poniedziałek **3** Ryszarda	Zupa jarzynowa. Jaja z grzybkami na muszelkach. Nerkówka z sałatą. Naleśniki z serem. Kolacja: Kasza tatarczana z kefirem.
Wtorek **4** Izydora b.	Zupa z bułek "panade". Kotleciki śledziowe z sałatką z kapusty kiszonej. Rosbef z przypieczonymi ziemniaczkami. Legomina ryżowa. Kolacja: Maczanki z polędwicą.
Środa **5** Wincentego	Zupa pomidorowa z ryżem. Szpinak z jajami zapiekany. Makaron z serem lub dorszem w sosie sardelowym. Kompot. Kolacja: Śledzie marynowane.
Czwartek **6** Wieczerza P.	Zupa grzybowa z płatkami. Fasolka na kwaśno. Kaszka krakowska z twardemi jajami. Pierożki z serem. Kolacja: Omlety z szpinakiem.
Piątek **7** W. Piątek	Zupa rybna z kluseczkami. Salsefia w cieście. Ryba na niebiesko z octem i oliwą. Kompot z suszonych śliwek. Kolacja: Wędzone ryby bałtyckie.
Sobota **8** W. Sobota	Barszcz na grzybach. Kotlety ziemniaczane z sosem korniszonowym. Budyń grysikowy. Przyjęcie po Rezurekcji z przygotowanych na stół wielkanocny potraw.





HOCKI-KLOCKI

ZŁUDZENIE.



Automobilista do żony: — Nie obawiaj się, policjanci nie mają do nas żadnych pretensyj, chcą tylko poflirtować z Norą... „Esquire".

Rozwiązanie z Nru 13-go.

BABKA.

a) 1 na 4; b) 1 na 1728.

NA WSI.

Grzegorz miał 7 prosiąt, bo: $7+7+3^1/_2+2^1/_2=20$.

PAPIEROSY.

156 papierosów (125 papierosów daje 25 papierosów, a z ich niedopałków można otrzymać jeszcze jeden dodatkowy papieros).

KURY I JAJA.

Sześć kur w siedem dni zniesie 42 jaja.

NA ZEGARZE.

Zegar wskazywał 6.30.

KSIĄŻKA.

Strona 49 znajduje się na 25 kartce.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

PAN KANAREK KUPUJE MOTORÓWKĘ.

Pan Kanarek kupił luksusową motorówkę i zapłacił za nią o 3000 zł. więcej, niż jedna czwarta jej ceny. Ile kosztowała motorówka?

NA MAPIE.

Rysunek przedstawia mapę pięciu wysp. Na wyspach tych mieszkają kolorowi, z którymi prowadzę ożywiony handel. Każdego roku mój okręt odbywa dziesięć kursów (naznaczonych na rysunku linją przerywaną) ale nigdy nie przebywa tej samej drogi dwukrotnie w roku. Proponuję Czytelnikom obliczyć ilu różnymi kursami mogą objechać wyspy w podróżach dziesięcioletnich, zawsze wyruszając z tej samej wyspy?

FATALNA SYTUACJA.



— Mówię ci, że to jest nie do zniesienia. Żona każe mi niańczyć dziecko nawet podczas parady... „Esquire".

Dokończenie ze str. 14-ej.

przydawano koperwasu (siarczanu miedzi), żeby była czarniejsza i lepiej szczypała. Sirakuzana na swej fabryczce zrobiła majątek, kupiła kamienicę, a córki wydała zamąż za dobrą szlachtę. Następców jej oskarżono o dodawanie do tabaki kości trupich, włosów strzyżonych, odchodów końskich i innych podobnych ingrediencyj. Pozwani zdołali jednak przed instygatorem sądu marszałkowskiego udowodnić bezpodstawność tych zarzutów, co się zaś tyczy składników dodawanych już przez Sirakuzanę, przedstawili świadectwa doktorów na dowód, że nie szkodzą nosom i organizmom ludzkim.

Była już wtedy Warszawa Paryżem Północy, stolicą mody. Miała pierwsze w Polsce dorożki. Na ulicach jej grano już „w kubki", popularną grę wynalezioną przez żołnierzy gwardji pieszej koronnej, grę, którą i dziś można widzieć na Bielanach czy w Młocinach a i u nas w Krakowie po ulicach co odleglejszych od śródmieścia, polegającą na zgadywaniu pod którym z trzech kubków spryciarz ukrył małą gałkę. Kto nie zgadł, przegrywał stawkę. Słynęła dalej Warszawa z modniarek upinających kornety, których były rozliczne i ustawicznie zmieniające się rodzaje. Biada mężowi, który wracając do swej połowicy z Warszawy, nie wiózł najmodniejszego kornetu! Gdy nastały atłasowe i grodeturowe pantofelki, znowu wyrocznią w tej materji stała się Warszawa. Mężowie, ojcowie i kawalerowie kupowali te trzewiczki tuzinami i kopami.

Obładowany zakupami wracał nasz gospodarz w domowe progi — i pewnie ani mu na myśl nie przyszło że coś wokół niego mogłoby się zmienić, że czasy w których tak dobrze mu się żyło miały — jakże rychło — zaliczyć się do niepowrotnej przeszłości. Wystarczało mu, że mógł i lubił dobrze zjeść i wypić; kielich i pieczeń przesłaniały mu świat a jeśli w ten świat ruszył to pewnie, jak pan wojewoda miński Krzysztof Zawisza, pomieszał twórcę fresków w Kaplicy Sykstyńskiej Michała Anioła z archaniołem Gabrjelem. Wystarczała mu mądrość i wiedza o świecie, jaką znajdował w „Akademji wszelkich sciencyj pełnej, na różne tytuły jako na classes podzielonej" czyli w „Nowych Atenach" Benedykta Chmielowskiego, spełniających rolę encyklopedji, lekarza domowego i kalendarza I. K. C.

Takie to były czasy. Były i minęły.

Walerjan Lachnitt.

Dokończenie ze str. 25-ej.

leur" nie razi nigdy i zawsze jest elegancki, więc i w tym roku nie zniknie całkowicie z horyzontu mody. Ale jeśli już chcemy być naprawdę „dernier cri", to złagodzimy jego surowość małą szczyptą fantazji: a więc spódniczka będzie gładka do żakietu z wełny deseniowej; albo kieszenie będą duże i fantazyjne, nakładane i lekko odstające. Albo prostotę linji złagodzimy kombinowaniem pasów w rozmaitych kierunkach. Albo też obłamujemy żakiet odmiennej barwy taśmą lub zamszem. Możemy też odrzucić kołnierz i klapy i zapiąć żakiet na rząd guzików aż pod samą szyję, lub nawet na zamek błyskawiczny. Każdy pomysł — byle dobry — jest dopuszczalny.

Na urozmaicenie wiosennych kostjumów wpływa również i dobór materjałów i kolorów. Wiosenne kolekcje wykazują niewidzianą dotąd różnorodność pasów i krat szkockich, większych i mniejszych, pepitek i wzorzystych tweedów w rybią ość, barwne węzełki, „diagonale" itd. Rzadko kiedy spódnica jest identyczna z żakietem: najmodniejsze jest zestawienie wełny wzorzystej z gładką, ciemnej z jasną, względnie nawet wełn o dwóch odmiennych, ale sharmonizowanych wzorach. Jeśli chodzi o klasyczne kostjumowe wełny w barwach neutralnych, to najmodniejsze będą odcienie popielate, tabaczkowo-brązowe i — na kostjumy popołudniowe — czarne. Ale nosi się również śliczne stonowane kolory: szaroniebieskie, stalowe, żółtawe, turkusowe, szaro-liljowe i białe — wtedy koniecznie z jakiemiś ciemnemi, najlepiej czarnemi lub granatowemi dodatkami. Wogóle unikać należy wszelkiej monotonji w zestawianiu całości: nawet przy gładkim kostjumie w jednym tonie, wprowadzimy parę śmiałych akcentów kolorystycznych w postaci bluzki, szalika, rękawiczek, torebki i kapelusza. Odwrotnie, gdy kostjum jest z materjału w barwny wzór (kratę lub pasy), złagodzimy jego pstrokatość ciemniejszymi, gładkimi dodatkami.

Lady Like.

Dokończenie ze str. 28-ej.

były gorsety z lat przedwojennych, nie wymagają dociągania ich kolanem przez silną pokojówkę, nie krępują wcale swobody ruchów ani oddechu. Pod względem higjenicznym nietylko nie są szkodliwe, lecz nawet przy forsownem uprawianiu sportu działają korzystnie, przeciwdziałając nadmiernemu forsowaniu mięśni brzucha i obtrząsaniu wewnętrznych organów. Warunkiem jednak tego korzystnego działania jest, aby pas był precyzyjnie wykonany i dobrany do danej figury, aby zrobiony był z elastycznej materji jak lastex, czy tiul lastexowy, oraz aby był najzupełniej przewiewny.

Trzeba stwierdzić, że gorseciarstwo stoi u nas na bardzo niskim poziomie i niezawsze odpowiada racjonalnym higjenicznym wymogom. Dobrze by było, aby nasze bieliźniarki odbywały praktykę w pierwszorzędnych firmach paryskich, tam bowiem dział ten stoi na niezmiernie wysokim poziomie. Zły pas, nieumiejętnie skonstruowany, może działać wręcz szkodliwie na zdrowie, a przytem nie spełnia bynajmniej swego upiększającego zadania: nadmierne przyciskanie podkładki tłuszczowej w jednem miejscu powoduje jej wypychanie w formie brzydkich „wałków" w drugiem, tworzą się fałdy i zmarszczki w materji pasa — co wszystko odznacza się szkaradnie pod obcisłą suknią.

EM.

PRZECZYTAMY:

Ukazał się (nakładem wyd. „Rój", Warszawa) tom szkiców Aleksandra Piskora „Jedna dama i siedem ekscelencyj".

Odgrzebywanie i odgrzewanie starych pamiętników, listów, wspomnień, i łączenie ich w związaną narrację ma zawsze dużo ciekawych stron, gdyż dowiadujemy się z niej nie tylko ciekawych rzeczy o opisanych osobach, ale poznajemy koloryt środowiska, czasu i kraju.

Książka Piskora mówi głównie o tworzącej się w końcu XVIII wieku „Galicji i Lodomerji", montowanej sprężyście przez urzędników Niemców i Czechów, różne intrygi, a przy mimowolnej pomocy społeczeństwa polskiego, które



Katarzyna z Jaworskich Starzeńska-Pawlikowska (il. z książki A. Piskora).

nie orjentowało się w zamierzeniach i kulisach c. k. rządu. „Jedna dama i siedem ekscelencyj" jest bardzo ciekawą, barwnie napisaną i również wartościowo zilustrowaną „vie romancée", po polsku... życie romansowe, przynajmniej w jej pierwszej części, gdyż bohaterka opowieści Katarzyna z hr. Jaworskich hr. Ksawerowa Starzeńska była osobą bardzo romantyczną, szukającą swego ideału poprzez niezliczoną ilość miłostek.

Druga część tj. ta o „Siedmiu ekscelencjach" zajmuje się osobistościami innego typu, wśród których nie brak tak ciekawych ludzi jak Wacława Rzewuskiego, amatora Arabji, Wojciecha Dzieduszyckiego, męża stanu i słynnego facecjonisty i wielu innych. Dla historyka obyczajów kapitalna jest opowieść o doli i niedoli nowokreowanej arystokracji hr. Bobronicz Jaworskich, którychby można uważać za prototyp licznych rodzin, które wzbogaciły różne „almanachy błękitne" i chętnie były uważane przez inne dzielnice za „signum specificum" tej dzielnicy. Moralista, krytykujący dzisiejsze nasze stosunki i obyczaje, pocieszy się, że moralność stała wtedy bynajmniej nie wyżej jak dziś, a przynajmniej w pewnych warstwach społecznych. Rozdział o Wacławie Rzewuskim zwraca na siebie uwagę nie tylko treścią, ale przedewszystkiem świetnemi reprodukcjami obrazów i rysunków samego Rzewuskiego, które, jak się zdaje, ukazały się po raz pierwszy w druku. — Reasumując możemy przypuszczać, że autor stanie się godnym następcą Wasylewskiego, choć tematowo ma nieco inne zainteresowania. **JGM**

TO CO NAJCELNIEJSZE

ZWIEDZAMY WYSTAWĘ:

REPREZENTACYJNA WYSTAWA WĘGIERSKIEJ SZTUKI W KRAKOWIE.

W „Krakowskiem Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych" otwarto ub. niedzieli wystawę sztuki węgierskiej, urządzoną staraniem królewskiego rządu węgierskiego pod protektoratem P. Prezydenta Ignacego Mościckiego oraz regenta królestwa Węgier Mikołaja Horthy de Nagybanya. Węgry po raz pierwszy wysłały zagranicę arcydzieła swego malarstwa retrospektywnego, a sam regent Horthy czuwał nad wyborem eksponatów na wystawę, która z Krakowa przewiezioną będzie w kwietniu do warszawskiej „Zachęty".

Ekspozycję organizował znakomity uczony węgierski i wierny przyjaciel Polski prof. budapeszteńskiego uniwersytetu Tiberius Gerevich, którego dziełem ostatniem jest odkopanie zabytków z najdawniejszej przeszłości Węgier, zamku w Ostrzyhomiu, zbudowanego w XI wieku przez dynastję króla Arpada.

Węgierska wystawa posiada działy retrospektywny, współczesnej rzeźby, plakiet i medali, grafiki, zdobnictwa, sztuki ludowej i ceramiki. W specjalnem, stylowo urządzonem wnętrzu pomieszczono dział nowoczesnej sztuki religijnej, obfitujący w liczne przedmioty liturgiczne, wykonane w srebrze, złocie, jak krucyfiksy, monstrancje, kielichy, świeczniki kościelne, oraz bogato tkane antepedja i piękne ceramiki, odznaczające się szlachetną polewą, oraz formami opartemi na wspomnieniach sztuki włoskiego Odrodzenia.

W dziale retrospektywnego malarstwa znalazły się dzieła pokolenia malarzy węgierskich, współczesnego z Matejką, Chełmońskim i Grottgerem, a więc Juljusza Benczura (1844-1920), twórcy szeregu kompozycyj historycznych, reprezentowanego na wystawie „Ostatniem pożegnaniem Władysława Hunyadego", Filipa Laszló, ur. 1869-1937, portrecisty światowej sławy, który stał się ulubieńcem angielskiej arystokracji, a pod koniec życia otrzymał brytyjskie obywatelstwo. O poziomie twórczości Laszla doskonale świadczy wystawiony w Krakowie jeden z najlepszych jego portretów, a mianowicie, papieża Leona XIII, odznaczający się finezyjną techniką malarską, oraz subtelnym, psychologicznym wyrazem.

Na wystawie znajduje się również pierwsza kompozycja ojca malarstwa historycznego w Węgrzech Michała Lieba Munkacsy'ego, ur. w Munkaczu 1844, a zmarłego w Budapeszcie w 1900 r. Munkacsy dobił się najwyższego stanowiska w malarstwie węgierskiem pracą i talentem. Pochodził z biednej rodziny, był początkowo cieślą. Religijne jego kompozycje były swego czasu w Europie i Ameryce, niezwykle cenione, a słynny „Chrystus przed Pilatem", sprzedany został przez autora muzeum w Filadelfji za cenę 150 tys. dol

Otwarcie wystawy przypadło w momencie historycznym, gdy uzyskaliśmy wspólną granicę z Węgrami, która, w ciągu tysiąclecia naszego sąsiedzkiego pożycia z Węgrami nigdy nas nie dzieliła.

Wpływy sztuki polskiej i węgierskiej występowały już w wiekach średnich, a rozkwitły bujnie w epoce odrodzenia **mdd.**



Szineyi-Merse Paweł. „Dama w sukni lila".



Widok na dział ceramiki na wystawie Sztuki Węgierskiej w Palacu Sztuk Pięknych w Krakowie.

NA POLSKIEJ ANTENIE:

Audycje Wielkotygodniowe.

Cykl podniosłych audycyj Wielkotygodniowych rozpocznie w **niedzielę** 2 bm. o godz. 17.15 słuchowisko „Żywy Bóg", pióra C. i Z. Malard (Francja) w przekładzie i radjofonizacji A. Rybickiego. Dalsze części tej audycji nadane będą w **czwartek** 6 bm. o godz. 18.30, w **piątek** 7 bm. o godz. 18.30 i w **sobotę** 8 bm. o godz. 17.15. W **niedzielę** 2 bm. usłyszymy o godz. 18-ej koncert polskiej muzyki religijnej, w wyk. chórów i orkiestry Filharmonji warszawskiej, z udziałem solistów; w **poniedziałek** 3 bm. oratorjum El. Oddone p. t. „Błogosławieństwo chleba" w wyk. chórów i orkiestry P. R. oraz solistów pod dyr.



Juljusz Słowacki w wieku lat 15.

S. Kazury. We **czwartek** 6 bm. usłyszymy oratorjum J. Elsnera pt. „Męka Pana naszego Jezusa Chrystusa", w wyk. orkiestry i chóru Filharmonji warszawskiej pod dyr. T. Czudowskiego, zaś w **piątek** 7 bm. „Stabat Mater" Giovanni Pergolese'go w wykon. solistów, organów, chóru i orkiestry pod dyr. K. Geigera. — Rozmowy Wielkotygodniowe ze słuchaczami przeprowadzi ks. Jan Zieja z Polesia w **poniedziałek** 3 bm. o godz. 21.30, we **wtorek** 4 bm. o godz. 22.00 i we **środę** 5 bm. o godz. 21.30. — Uroczystości Wielkotygodniowe w radjo zakończy w **Wielką Sobotę** o godz. 20.00: transmisja rezurekcji z kościoła katedralnego we Włocławku.

Audycje literackie i muzyczne od 2—8 kwietnia br.

90-ta rocznica zgonu Juljusza Słowackiego uczczona zostanie radjogodziną wspomnień o poecie, transmitowaną z Krakowa w **niedzielę**, dnia 2 bm., w czasie której słowo wstępne wypowie Bol. Pochmarski, recytować utwory poety będzie T. Białkowski.

Program ogólnopolski przewiduje ponadto następujące ciekawsze audycje: w **poniedziałek** 3 bm. o godz. 15-ej audycję dla młodzieży pt. „Chimera", mit grecki w opracowaniu N. Hawthornea, w wykon. Stefana Jaracza, z il. muz. J. Maklakiewicza. We **wtorek** 4 bm. usłyszymy o godz. 21-ej transmisję koncertu symfonicznego z Teatru Wielkiego we Lwowie. — We **środę** 5 bm. w programie muzycznym „Concerto na skrzypce, viola da gamba i fortepian" J. F. Telemanna w wyk. S. Mikuszewskiego, F. Macalika i M. Sacewiczowej. W **czwartek** 6 bm. o godz. 15.30 preludja chorałowe J. S. Bacha w wyk. ork. Stow. Muz. polskich pod dyr. A. Kopycińskiego.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca. — Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

Zakłady Graficzne „I. K. C.", Kraków, Wielopole 1, pod zarządem Franciszka Czajki. — Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1